



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>

7107.2.810



3 2044 019 272 699

a-Gawronski
HAL CZAYKOWSKI

Slav 7107.2.810



HARVARD
COLLEGE
LIBRARY

10
Zygmunt Birkenmajer

WARSZAWA 1942 r.

ŻYCIORYSY SŁAWNYCH POLAKÓW
Nr. 14

MICHAŁ CZAYKOWSKI

(SADYK-PASZA)
SADIKPAŞA

JEGO ŻYCIE, DZIAŁALNOŚĆ WOJSKOWA
I LITERACKA

ZARYS BIOGRAFICZNY

NAPISAŁ

FR. RAWITA-GAWROŃSKI

Z PORTRETEM M. CZAYKOWSKIEGO

WYDANIE DRUGIE

Cena 30 kop.

PETERSBURG

NAKŁADEM KSIĘGARNI K. GRENDYSZYŃSKIEGO

1901

do 01783 [14]

1. II 56

13

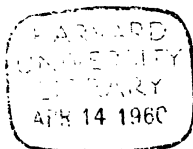
Slav 7107.2, 810

✓

Subl. 1664

Дозволено Цензурою.

Варшава, 28 Января 1901 г.



D-2008/58

16. XII. 55

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

PRZEDMOWA.

Zamierzyłem był sobie napisać historię wojny wschodniej, a raczej udziału w niej Polaków na terenie Turcji. Był to moment naszych dziejów emigracyjnych ciekawy a mało many. W planie moim napotkałem jednak trudność najważniejszą: zamknięte dla zwykłych śmiertelników archiwum ks. Czartoryskich w Hotelu Lambert. Taki to smutny los i pragnących i archiwów polskich. Na tle tej wojny wysuwa się wybitnie postać Michała Czaykowskiego, późniejszego Sadyka-Paszy. Kto zapragnie poznać ten okres naszych dziejów, losy rozbitków, polityczną i dyplomatyczną działalność Hotelu Lambert najprzód, a potem Czaykowskiego na własną rękę, ten, spotkawszy się z Sadykiem-Paszą, nie będzie mógł rozstać się z nim aż do rozwiązania Kozaków otomańskich.

Ta okoliczność i mnie skłoniła do zapoznania się z życiorysem Sadyka-Paszy.

Nie przyszło to tak łatwo jak się zdaje. Działalność jego literacka była dostępną dla wszystkich, polityczna i wojskowa, w szczegółach osobliwie, bardzo mało i urywkowo znaną była. To samo można powiedzieć i o szczegółach jego życia. Materiał pamiętnikarski, że tak powiem, przez osoby trzecie podany, był często bardzo jednostronny, zaprawny walką stronnictwą, nieraz złośliwy a zawsze nieżyczliwy. Nie brakło również i tonu panegirycznego. (Kozaczyzna w Turcji). Dużo wogóle znalazłem soli, a mało faktów. Z takim materiałem niepodobna było przystąpić do życiorysu. Dpomóg mi do tego materiał rękopiśmienny, zgromadzony w mojej bibliotece, wiarogodności niezaprzeczonej. Na tym też ma-

teryale przeważnie osnułem zarys biograficzny niniejszy, o on dotyczy faktów i dat ścisłych. Przedewszystkiem w wymienić muszę *Pamiętnik o Sadyku-Paszy*, rękopis po francusku pisany przez osobę stojącą blisko Czaykowskiego i z nią doskonale stosunki i wypadki z jego życia; następnie *Resztki pamiętników majora Grochowalskiego*, także rękopis; część korespondencji ks. Adama Czartoryskiego z Sadykiem-Paszą (nie drukowana); część korespondencji jego ze Śniadecką i Dwiką; listy jego do bankiera Alléon, wreszcie rodzaj listów otwartego Sadyka-Paszy do Polaków, po powrocie jego z Turcji do Kijowa. Wszystko to dotychczas nieznanie w druku.

O materiałach drukowanych nie wspominam. Z niektórych korzystałem — o ile praca moja szkicowa korzyść pozwoliła, a wówczas powołałem się na nie. Z niektórych nie korzystałem wcale, bądź dlatego że fakt jakiś, tam nie dany, znalazłem w moich papierach, bądź że nie byłem treści godnej uwagi lub lepiej od innych ujętej (Duchowskiego: — Polacy w Turcji), bądź też cytaty z nich nie dawały się do tak zwięzłego traktowania, jaki sobie zamierzyłem.

Nie wątpię, że praca moja, nie wolna od usterek i błędów, tem bardziej, że obejmuje po raz pierwszy całą duchową pisarza, zainteresuje szerokie koła tych czytelników którzy niepospolitą postać Sadyka-Paszy znali tylko z luźnych pogłosek, przesadnych opowiadań lub plotek oszczerczych.

Lwów, 15 listopada 1898 r.



I.

Michał Czaykowski urodził się na Ukrainie, w Halycu r. 1804, ochrzczony w Kodni 8 maja 1805 r., a był synem Stanisława i Petroneli z Głębockich ¹⁾.

Zanim jednak poznamy pisarza, człowieka i jego działalność, musimy krótkimi rysami naszkicować tło społeczne, opisać warunki owoczesnego życia, wśród których rósł i kształtował się młody umysł, zanim na pole samodzielnej pracy wystąpił. Było to życie niezmiernie bogate w różnobarwność, pełne zamaszczystości, hulaszczności, swawoli; życie często bez jutra i bez poważnych prądów, ogarniających większość społeczeństwa kresowego. Dołem, u podstaw, od szkoły szła popoli praca ku odrodzeniu moralnemu i umysłowemu skierowana, ale fala codziennego życia wyrzucała ciągle szumowiny przyszwalone, niekarne, bezcelowe i zalewała zdrowe ziarna, niemożliwiając dostęp do słońca i światła.

Była to chwila bliska jeszcze ostatniego rozgromu politycznego. W tym zakątku północnym dawnego województwa kijowskiego, który graniczył z Wołyniem, dotykał jedną stroną przez Owruczyznę Polesia, a południowem ramieniem stepowej Ukrainy, było rojno, hucznie wesoło. Łączność z Warszawą, a właściwie z późniejszym Królestwem kongresowym, była małą; panowie, szlachta, panie szczególnie jeździły tam bawić się i tracić majątki; młodzież, tylko powa-

¹⁾ Tak świadczy, znajdujący się u mnie autentyczny wypis ksiąg metrycznych parafii kodeńskiej. Data więc urodzenia, podana przez St. Tarnowskiego, r. 1803, jest błędna (Przegląd polski t. IV, 1886, str. 414).

źniejsza, zaglądała do szkół. Zakątek więc, o którym mówił, jak większość przyłączonych prowincyi ruskich, różnił się od naszego życiem. W kraju od wielu lat panował spokój: Tarasiewicz, który dawniej zapuszczał tutaj zagony i w łyka biegał panów braci, dziś sam w łyka poszedł; podatki były bardzo małe, lata urodzajne, ceny dobre — podnosił się więc bardzo ekonomicznie, pieniądź był łatwym — nie przeto dziwne, że szlachta rozwydrzona, hulala, grała w karty i kochała się w miłości. Tu i owdzie zjawiał się wśród rozbawionej szlachty żołnierz napoleoński albo kościuszkowski, otoczony czcią i sympatjami powszechną, który także rzucał się nieraz w wir próżniaczych zabaw i hulatyk.

Do roku 1831 wszędzie prawie na Wołyniu, Podolu i Ukrainie szkoły były polskie. Pierwsze miejsce zajmował zawsze Krzemieniec, chociaż od chwili, gdy kierownictwo opadło w ręce Czackiego, kulał, upadał, a do dawnej świetności nie podniósł się nigdy. Mimo to wszystko, siłą samej tradycji, był, można śmiało powiedzieć, ogniskiem umysłowym Wołynia, Podola i Ukrainy. Wszystko, co kraj posiadał najlepszego, myślą i współdziałaniem łączyło się z Krzemieńcem. Wydał on już był wielu dzielnych ludzi, a wielu jeszcze miał wydać. Dzięki nie tylko przewodnictwu Czackiego, ale później Platera i Drzewieckiego, pielęgnował i podtrzymywał, bodaj w małej części, poważny nastrój kresowego społeczeństwa. Wiele rodzin zamożnych zamieszkiwało Krzemieniec, a salony ich, otwarte zarówno dla uczniów jak dla profesorów i szlachty zjeżdżającej się zewsząd, były także poniekąd szkołą publiczną.

Wszystko szło ładem w Krzemieńcu — mówi pamiętnikarz — nauczyciele gorliwie uczyli, młodzież korzystała z nauk, zwierzchność wglądała starannie w ich prowadzenie się, komisya czynnie zajmowała się sprawami funduszów edukacyjnych i wiele sum odzyskała. Czacki czuwał nad wszystkim, duch jego wszystko ożywiał. Skład nauczycieli był, jak na owe czasy, bardzo dobrze dobrany. Niektórzy z nich cieszyli się dużym rozgłosem. Wydział fizyczno-matematyczny posiadał opinię świetnie zorganizowanego. W dziale literatury wykładali Osiński, Euz. Słowacki, Feliński, historję — Udyński, Choński i Jaroszewicz — prawo; wyższą matematykę — Ściborski, Czech. Francuszczyzna, dzięki powszechnym wy-

maganiom, niepoślednie zajmowała miejsce. Duch w szkole panował najlepszy. Poczucie miłości własnej rozwijano ogromnie; stąd też nastrój moralny szkoły był wysoki. Niezawasze wszakże na tym poziomie utrzymała się ona. Czacki, umysł przeżywy i poważny, założywszy tę szkołę w chwili największych niepokojów w kraju, pragnął ją utrzymać i dla tego zajął wobec wojen napoleńskich stanowisko obojętne, a wobec rządu zupełnie poprawne. Następcy jego, szczególnie po utworzeniu już królestwa kongresowego, kiedy społeczeństwo wygrabiało w sobie kult dla cesarza Aleksandra I, drogi tej niezawasze się trzymali.

Po krzemienieckich za najlepsze uchodziły winnickie. Uboższe w fundusze i środki naukowe, cieszyły się jednak na Podolu dobrą sławą. Stąd wyszli Mikołaj Malinowski, głośny na Ukrainie Spirydjon Ostaszewski, Aleksander Jęłowicki, Tomasz Padura, Tyt. Szczeniowski¹⁾ i w. in., których imiona głośnie się stały w literaturze i życiu. Humanistyczne szkoły posiadały również dobrą opinię i wydały prawie w ostatnich latach swego istnienia Bohdana Zaleskiego, Goszczyńskiego i in. Taką samą sławą cieszyły się szkoły w Miedzyrzeczu Koreckim, dokąd uczęszczał i Michał Czajkowski, a nauki wykładali księża Pijarzy.

Jednem słowem każda większa polać kraju posiadała własne ognisko umysłowe, wystarczające bliższej i dalszej okolicy. Dopiero kto pragnął wyższej nauki, szedł do Krzemieńca, Wilna lub Warszawy.

Tak więc o brak możności kształcenia się szlachty owoczesnej posądzić niepodobna. Średnio-zamożne rodziny odbywały szkołę w kraju, bogatsze uzupełniały, w domu niejako nabytą wiedzę, zagranicą. Zresztą, nie tyle im o wiedzę chodziło, ile o znajomość obcych języków i polor towarzyski — nie zawsze nabywany w salonach.

Za powrotem do domu, ze szkół krajowych lub z zagranicy, odrobina wiedzy, niepodsycana niczem, rzadko ożywiona głębszą myślą, marnowała się w wirze codziennego próżniaczego życia. Po prostu, nie było pola do pracy, a rzadko kto zdołał go sam dla siebie stworzyć. Urzędy wy-

¹⁾ Ten sam, który miał później smutną i rozgłośną sprawę z panem Józefem Jaroszyńskim.

bieralne, na marszałków powiatowych i gubernialnych, m dawały zatrudnienia; wybierano bardzo często nie najteż głowy, ale takich, którzy mieli najlepiej obładowane kieszeń lub piękny majątek, a posiadali, wysoko cenioną, en gościnności. Dobra kuchnia była nieraz wyżej szacowana r dobra głowa. Całą pracą owych marszałków było tak zwa reprezentowanie interesów szlacheckich — pojęcie nader e styczne, nieuchwytnie i polegające zwykle na dawaniu bal i trzymaniu otwartego stołu. Wybieralne sędziowskie urzę dawały więcej pracy, ale też było ich bardzo mało i tyl jednowioskowi szlachcice do tej pracy porywali się dla zwie szenia funduszów.

Poza tem żadnego prawie pola do pracy publicznej siły więc i duże i dużo marnowały się w próźniactwie, po niecanem dobrym stanem materyalnym całego kraju. Próźni ctwo to wyradzało się w jakieś orgie swawoli, wytrącało sp łeczeństwo z równowagi moralnej i umysłowej, przerzucaj z jednej krańcowość w drugą. Gdy żołnierze Napoleońs wnosili do życia kult Napoleona, z kultem owym począł sk tecznie walczyć prąd stworzony wypadkami i działalność polityczną cesarza Aleksandra I. Wiara w jakąś doskona przyszłość ogarniała wszystkich. Ścierały się więc ze sol dwa kulty, dwa prądy, dwie polityki. Cała ta rewolucj umysłowa i polityczna odbywała się w społeczeństwie, żyj cem resztkami dawnego życia, dawnymi nałogami, upodob niami, sympatjami. Były one tak głęboko zakorzenione, i tylko częste i długoletnie klęski zdołały wyleczyć z nich kr sowe społeczeństwo. Gangreną tą, trawiącą silny organizm było próźniactwo, objawiające się w miłostkach, polowaniac i grze hazardowej.

Kąt Wołyni i Ukrainy, w którym Michał Czaykował pierwsze lata młodości swojej spędzał, nie tylko nie był w jątkiem, ale z wielu powodów należał do typowych po względem swawolnego i hulaszczego życia. Oprócz przyczy zachęcających do takiego życia, a zaznaczonych zaledwie prze nas, trzeba zaliczyć doskonale, przyjacielskie stosunki, panujące między rozłokowanym na Wołyniu wojskiem rosyjskiem a szlachtą. W Berdyczowie, który długi bardzo czas by ogniskiem wszelkich próźniaczych wybryków ogromnej pola kraju, znajdowała się główna kwatera dywizyi huzarów, "tót

kładaly cztery pułki: aleksandryjski, achtyrski, maryampolki i ks. Orańskiego. Oficerowie tych pułków, Polacy, Rosjanie i Kurlandczycy, posiadali opinię najlepszych hulaków, ze szlachtą więcej lub mniej zamożną utrzymywali najserdeczniejsze stosunki. W Żytomierzu była główna kwatera komendanta korpusu generała Rotta, Alzatzczyka w służbie rosyjskiej, przeznaczonego niby dla poprawy korpusu, zbyt rozmulanego. Nadomiar wszystkiego, w Kodni, znanej historycznie z barbarzyństwa Regimentarza Stempkowskiego, stacjonował sztab oddziału remonty polskiej, pięciu pułków strzelców konnych i czterech ułańskich.

Wszyscy ci wojskowi, mający czasu do zbytku, pomiędzy dużo i temperamentu nie mało, bawili się bardzo wesoło, chociaż nie zawsze przyzwoicie. Polscy remontierzy i ułanami i huzarami rosyjskimi przyjaźnili się i hulali razem. Młodzież oficerska, która przelotnie pochwyciła jakieś hasła o wolności, chętnie na ten temat prowadziła rozmowy ze sobą, ze szlachtą i z polskimi ułanami w chwilach wolnych od zabaw; z tych rozmów powstało z czasem wśród wojska rosyjskiego stowarzyszenie *Zielonej Księgi*, mające przed sobą nie zbyt jasne idee jakichś reform politycznych w Rosyi. W jaki sposób to stowarzyszenie rozwiązało się — to należy do historii Rosyi, nie naszej i dlatego też mówić ani o stowarzyszeniu ani o jego losach nie będę.

Pamiętnikarze owej doby — sam Czaykowski, Detiuk (Andrzejowski) i Kowalski, inni w mniejszym stopniu — opisują najlepiej to hulaszczę, swawolne życie i figle, które uchodziły na sucho. Mikołaj Czaykowski, stryjeczny krewny Michała, zgrywał w bilard do grosza huzarów berdyczowskich, udając że nie umie wcale grać, i łapiąc ich na to niby niewinne oszukaństwo. Rzecz to zwykła i zdarza się nieraz, ale karygodnem jest zachowywanie się i poglądy innych, którzy w tem upatrują raczej jakieś bohaterstwo niż czyn godny potępienia. Rotmistrz Stackelberg, bywający w domu marszałka kijowskiego Feliksa Zaleskiego, urządza mu figla bardzo wesołego. Wiedząc o tem, że marszałek naznaczał miejsce przy stole swoim według ilości koni, którymi gość przyjechał, dowcipny rotmistrz kazał zaprządź do powozu dziesięć trójek jedna za drugą, zajechał w ten sposób przed ganek dwóch marszałka i ku uciesze wszystkich zajął pierwsze miej-

sce przy stole. Inny dowcipniś, gdy w kościele OO. Karmelitów Bosych zagrano ulubiony marsz prowincyała Romanowskiego, zaprosił żonę jakiegoś pułkownika i zrobił z nią kilka pas w tej chwili właśnie, gdy ksiądz przy ołtarzu śpiewał: „Ite missa est“. Wszystko to przyjmowano z najlepszej strony, za dowcip, wesołość, żart — a popisów takich bywało co niemiara.

Ci, co nie mieli błaznowatego usposobienia, z dziką jakąś frenezją oddawali się polowaniu, jakby pragnęli w tej zabawie utopić swoją energię i zbytek sił — nie tylko czas. Do takich zapalonych myśliwych należał Józef Stecki. Od czasów ks. Radziwiłła panie kochanku pewnie nikt — jak utrzymuje Czaykowski — nie polował z większem zacięciem od niego. Gdy polował z gończymi, całe knieje otaczano myśliwymi, rozstawionymi na stanowiskach, a gdy już wszystko było w pogotowiu, puszczano pięćdziesiąt sfor gończych, wypuszczając z różnych punktów po pięć do dziesięciu sfor. Przy każdej piątce znajdował się osobny dojeżdżacz z harapem, kordelasem i trąbką. Żadnej broni palnej nie posiadał: borsucza torba myśliwska przez ramię, czapka w torbie, głowa latem i zimą odkryta, — takie było ubranie dojeżdżacza, który musiał pędzić w ślad za psami. Gdy psy z szczekaniem zaczęły gonić zwierza, powstawał hałas piekielny, do którego przylączyła się strzelanina salwami i pojedynczymi wystrzałami. Była to prawdziwa burza z piorunami i wyciem wiatru. Panie także uczestniczyły na tych polowaniach — niekiedy konno. Rej tu wodził Mikołaj Worcel, który wszystkie psy swoje imionami żydowskiemi nazywał. Siadywał zwykle na małym żmudzkiem koniku, a gdy Ryfka, Sról, Mośko i Chajka już obsadziły dzika, wówczas wskakiwał z konika na grzbiet dzika i zadawał mu pod lewą łopatkę cios ostatni. Zdarzało się nieraz, że dzik długo nosił przez chaszcze i gęstwiny leśne pana Worcela zanim ostatni cios otrzymał.

Polowanie było jeszcze najlepszym sposobem przepędzenia czasu, a rzucenie się do tej zabawy młodzieży najlepszym dowodem, że duch staropolski budzić się począł; młodzież chętnie używająca powozu przedtem, przesiadała się na konia, do siodła i z pewną fanfaronadą i brawurą oddawała się tej rozrywce. Polowanie, ćwiczenia konne absorbowały siły, przeznaczone na pracę. Budziło się zamiłowanie do żoni

psów. Zrodziło się amatorstwo, a raczej rodziło się, z którego miała niezadługo wykwitnąć bałagulszczyzna. Zdarzało się, że szlachcic wieś, z ludnością w niej zamieszkującą, oddawał za parę chartów. Rozpoczęła się szacherka na konie i charty, którą młodzież bawiła się.

Życie po wsiach płynęło tedy szumnie, wesoło i w „wysokim stopniu cywilizacyjnie“ — powiada Czaykowski. Cywilizacja owa polegała wszakże nie tylko na wesołych balikach, zabawach, kuligach, polowaniach, ale i na tem, że w domach szlacheckich, jedno lub dwuwioskowych szlachciców, znajdowały się biblioteki, a raczej zbiory przypadkowe książek większe lub mniejsze, że tu i ówdzie prenumerowano nieliczne pisma peryodyczne warszawskie i wileńskie, a młode panny i panice nawet na jarmarku berdyczowskim, jeżeli wierzyć Fr. Kowalskiemu, o romantyzmie, Mickiewiczu i klasycyzmie rozprawiali. Traktowano wszakże zarówno naukę jak literaturę wogóle jako jedną ze szlachetnych rozrywek, najbardziej przyjemną w towarzystwie dam — rodzaj odpoczynku po polowaniu. Pamiętać należy, że zwrot ku rozrywkom myśliwskim i zabawom poważniejszym objawił się dopiero ku końcowi trzeciego dziesięciolecia naszego wieku. Było to już po wojnie tureckiej. Impuls do nowego życia wyszedł z Warszawy.

Chwila, poprzedzająca to rozbudzenie się, do której można śmiało zaliczyć omal nie całe trzy dziesięciolecia, była pognębiająco smutna pod względem osłabienia i znicestwienia ducha narodowego wogóle. Fałszywe i nieudatne próby przyjaźni na gruncie salonowym rozluźniły stosunki społeczne, wytworzyły pewną obojętność na losy własne. Nigdy może więcej jak w tym okresie nie było u nas — nie tylko na Wołyniu — rozwodów, małżeństw mieszanych i oficerskich miłości, podkopujących byt moralny wielu rodzin. Bale Nowosilcowa i miłości Bajkowa w Wilnie, romanse Baura na Wołyniu — były rzeczą powszednią. Powtarzało się to samo wszędzie; demoralizacja od góry, od salonów szła aż do dołu, do dworzków drobnej szlachty, zabijając zmysł moralny i ducha obywatelskiego.

Godzono się spokojnie z tym stanem jaki panował. Zwycięstwa cesarza Aleksandra I., odbudowanie Królestwa Końcesowego wprawiły w szal prawie tę część społeczeństwa

polskiego, która, przyzwyczajona do zabaw, nie lubiła patrzeć w przyszłość. Gdy tylko dyplomacya rosyjska okazała się łaskawą dla Polaków, entuzjazm dla Aleksandra przygluszył wszelkie inne uczucia i sądy. Wytworzył się jakiś wir dziwny, który w głębiny swoje porywał najsamodzielniejszych ludzi i szerzył kult do „odnowiciela Polski“. Zdawało się, że społeczeństwo, zmuszone długoletnimi wojnami Napoleona, na które dużo własnych sił i krwi wyexpensowało, potrzebowało złudzeń i odpoczynku, dlatego też gorączkowo rzuciło się do adoracyi polityki pokojowej Aleksandra I. Więcej wówczas Polacy ufali tej polityce niż rząd rosyjski Polakom. Gdy cesarz wysłał na Wołyń generał adjutanta grafa Gudowicza, „ażeby zbadał czy duch francuski nie rozszerza się w tych prowincjach“, jeden z panów polskich — świeżej daty wprawdzie — przyjął wysłannika z taką wspaniałością i etykietą, królewską prawie, sprosił takie mnóstwo gości, że zadziwił niemal generała. Z szablą przy boku wyszedł na powitanie jego do przedpokoju. Gdy Gudowicz, oczarowany przyjęciem, odezwał się do córki gospodarza: „ojciec pani dziwy ze mną wyrabia“, grzeczna wojewodzianka odpowiedziała: „ojciec mój chce dowieść jak rad jest dostojnemu gościowi“. Tytularny wojewoda upewnił grafa na odjeździe, że jak „on tak i wszyscy obywatele wołyńscy jednym tchną duchem wierności i przywiązania dla swego monarchy“. Jednym słowem na gruncie towarzyskim panowało najzupełniejsze zbliżenie się: panowie wołyńscy bywali u Igelstromów, przyjmowali w domu swoim Głazenapów z taką samą uroczystością jak Gudowiczów, córkom swoim pozwalali romansować z generałami rosyjskimi — jak romans głośny Baura z Grocholską.

Cesarzowiczka Konstantego przyjmowano również entuzjastycznie, uważając „bytność takiego gościa zaszczytem dla obywatelskiego domu“. Co do cesarza Aleksandra, entuzjazm dosięgł szczytu swego. Widziano w nim „bohaterstwo, które objawiało się ojcowskim sercem dla milionów ludów, podległych berłu jego“, nazywano go „słońcem dla kraju północy“, człowiekiem „dźwigającym cierpiącą ludzkość“. W Wilnie przyjęcie Aleksandra doszło do frenezyi. „Obywatele miasta — mówi współczesny świadek — wyłożywszy konie z powozu cesarskiego i zaprzągłszy się sami, ponieśli lotem ptaka ukochanego monarchę do miasta“, oświetlonego i ozdobionego

w allegoryczne postaci, wyobrażające „szczęśliwość miasta i uwielbienie Monarchy“. Wdzięczny i łaskawy cesarz tańczył na balu z paniami tak uprzejmie, że ani jednej z piękniejszych nie opuścił. Śród tych uroczystości nie zapomniano także o „balu dla pospólstwa“ kosztem obywateli. Całkowite woły upieczone, mnóstwo baranów i drobiu padło ofiarą tego uroczystego przyjazdu, a piwa, miodu i wódki wypito bez miary. Szlachta kazała malować portrety cesarza na pamiątkę jego pobytu, odprawiała solenne nabożeństwa, a gdy odjechał — żałowała, że uroczystości tak rychło minęły.

Przystępność Monarchy — pisze uszczęśliwiony Andrzejowski — pozwalała każdemu z bliska napatrzeć się na jego piękne oblicze i zostawić w sercu i pamięci niezatarte rysy pomazańca bożego.

To samo działo się w Żytomierzu. Nie jestem w stanie opisać entuzjazmu — mówi Czaykowski — z jakim przyjmowano Aleksandra I. Każdy był gotów na jego skinienie ofiarować życie, majątek, wszystko co posiadał, a Polki szalały za uprzejmym cesarzem. I tu oczarował swoją osobą wszystkich — szczególnie panie; tańczył z nimi mazura, wybierając najpiękniejsze, a z dziesięcioletnimi kawalerami małtańskimi, jakim był wówczas Michał Czaykowski, rozmawiał życzliwie. Taka epoka uniesień trwała, jak powiedziałem, prawie do końca trzeciego dziesięciolecia.

Dobre to były czasy — powiada zadowolony z czasów i z siebie Fr. Kowalski, — lata urodzajne i handlowe na Wołyniu. Pieniądzy było huk; trwonila je szlachta na bale, zabawy, hulanki jarmarczne. Zadowolenie próżniacze do tego stopnia ogarnęło szeroką część społeczeństwa kresowego, że kto tylko brał się za pióro w późniejszym wieku, ażeby wesółą przeszłość opisać, nie miał dla niej nigdy za dużo słów entuzjazmu.

Święć się, święć się wieku młody! — nieudatnie zastosowanym pięknym wierszem Bohdana Zaleskiego rozpoczyna panegiryk tej przeszłości Franciszek Kowalski, poeta bez piękna i poezji w duszy. Zawsze mi to wykrzyknienie — powiada — na myśl nasuwa się, ile razy wspomnę sobie o ubiegłych dawno chwilach swobody i *ładną chmurką* niezamąconej wesołości; o różnych a różnych, właściwych owej epoce *najcięższych* i wesołych zdarzeniach, wypadkach i przypadkach, które

dzisiaj przesuwały się przed moją wyobraźnią. Nie on jeden tylko żałował wiosny, którą „śmiejąc się przeskakał“.

Musiły istnieć w owe czasy jakieś szkła różowe przez które na społeczeństwo i ludzi patrzano, bo nawet poważni ludzie nabierali w opowiadaniach pamiętnikowych błaznowatego zacięcia, a pospolici wykpigrosze jarmarkowi urastali ledwie nie na bohaterów. Popisy wobec dam, przypominające romansowych trubadurów średniowiecznych, wstrętne miłości lub tulerzyńskie awantury pasierba z macochą, rozluźnienie moralności na każdym punkcie nie dobre wydawały świadectwo o zdrowiu społeczeństwa. Po nad próżniaczem życiem nie było żadnego światelka, oświetlającego drogę ku przyszłości. Z jednej strony garstka rozbitków, z drugiej rozbawiony tłum.

Społeczeństwo budzące się już z tego uśpienia umysłowego, w jakim ostatnie lata panowania Stanisława Augusta je pograżyły, miało jeszcze w łonie swoim zarazek dawnej trucizny: było to karciarstwo — powszechne, rujnujące, wstrętne. Dwór tulerzyński dawał pod tym względem najgorszy przykład i skupiał koło siebie najpodlejsze jednostki. Koniec XVIII w. był kolebką karciarstwa w Polsce i panowaniem karciarzy; długo, bo prawie sto lat choroba ta trapiła społeczeństwo polskie, a na Ukrainie, Wołyniu i Podolu przeciągnęła się prawie po koniec r. 1863. Po tym dopiero czasie nastąpiło otrzeźwienie. Początek wieku XIX i pierwsze trzy dziesięciolecia można śmiało zaliczyć do orgij karcianych społeczeństwa kresowego. Szalbierze kartowi — powiada Henryk Rzewuski — utworzyli dla siebie w Polsce prawdziwe władztwo, byli potencją silniejszą od tych, które się opierały na prawie krajowem, a często minister lub senator bywał zacieranym w towarzystwie od członka tej osobliwej federacji. W Warszawie miała ona swoje zjazdy, na których układały się jej plany. Miała swoją organizację, swoją politykę, swoich podkomendnych, którzy w zawodzie szachrajstwa wszystkie jej rozkazy wykonywali, bądź służąc im za szpiegów, bądź ogrywając tych, którzy zanadto nisko stali, żeby sami wodzowie z nimi przestawali. W każdym zamtucie były stoliki, zielonem suknem okryte, z kartami i pieniędzmi, a za nimi szulerzy, którzy na pewno ogrywali niższe warstwy społeczeństwa. Te szulerki podwładne najskrupulatniej przynosili swoją wygraną naczelnikom, poprzestając na tem co oni im zоста-

nią z wygranej. Przyszło do tego, że poczytywano za jakiś szczyt być oszukanym przez któregoś z tych bohaterów, później być umieszczonym w liczbie jego klientów. Bywały trykłady, że syn senatora lub dygnitarza, zgrany i w długi prowadzony przez szulerów, przystawał do ich służby, narządzał im nowe ofiary, krupierował, podrobione karty odrzucał w domach, gdzie urodzeniem swoim wstęp znajdował, znosząc z budującą cierpliwością wszelkie od nich pożenia, wszelkie obelgi, dlatego tylko, że przez nich mógł być w próżniactwie, zbytku i rozpuszcie, do jakich nawykł.

Niepodkupione to świadectwo daje smutne wyobrażenie tak zwanych wyższych sferach owego czasu. Ponińscy, Miążyńscy, Lulewicz, Gurowscy, Hadźkiewicz i in. rej wodzili, wychowawcy ich, niekiedy i oni sami, długo w wiek XIX rzucięli swój sposób życia i rzemiosło demoralizujące. Większość z nich próbowała swego szczęścia, a raczej sprytu w Tulczynie, gdzie miliony Szczęsnego Potockiego przeladorywali do swoich kieszeni, ażeby je zmarnować. Młody Jersey, syn z Mniszechówny wraz z „piękną Zofią“ także bierali zęsto lekcyę od szulerów. Nie tylko świeccy ludzie, ale i duchowni dawali w tej mierze przykład nie zbyt godny naśladowania. Jednym z głównych rozpustników i karciarzy był ierakowski, z początku kanonik przemyski, a potem biskup tyczowski — nie aprobowany przez Stolicę Apostolską. Poiadłszy względy Szczęsnego Potockiego, kręcił się ciągle koło jego ukraińskiego Krezusa, otrzymawszy od niego najprzód Tomaszpól w dożywocie, a następnie piękny futor pod Humanem. Oprócz wesołego życia i karciarstwa trudnił się on także dawaniem rozwodów i pod tym względem był jednym najczynniejszych demoralizatorów własnego społeczeństwa.

Tradycye karciarstwa przeniosły się jeszcze do Dubna a kontrakty, a stamtąd, wraz z kontraktami, do Kijowa. Tu rywano na gruby kusz — powiada Czaykowski — w fazona i sztos, prawdziwie po szatańsku. Bankier trzymał dooty bank, dopóki leżąca przed nim kupa asygnacyj nie doastała do jego nosa; na kartę stawiano po sto tysięcy rubli, apisy dusz poddanych przechodziły z rąk do rąk jak ruble. generałowie rosyjscy i magnaci grali z równem szaleństwem jak Polacy. Stary Hadźkiewicz, który śród karciarzy awansował na generała, zjeżdżał na kontrakty kijowskie i zgrywał

wszystkich, aby wygrane pieniądze przehulać. Słusznie utrzymuje Czaykowski: „jeżeli można było powiedzieć, że Warszawa tańczyła, Kraków się modlił, Lwów — kochał, Wilno polowało, to stary Kijów — grał w karty“. Nie tylko Kijów niestety; grało całe kresowe społeczeństwo, każdy w stosunku do posiadanych do przegrania pieniędzy, a Berdyczów, szczególnie w czasie jarmarku Onufrejskiego, bywał polem polowania dla gogów szlacheckich. Kijów pod względem szulek posiada swoją historję, na której kartach zapisane są imiona nie tylko Hadźkiewiczów, ale nawet takich niezwykle daleko posuniętych telmenów gry w karty i bilard jak znany podstoli Waliński, który za tytuł dwakroć sto tysięcy wyliczył gotówką Soltanowi. Ogrywał on świat cały — królów, książąt, królów kupił duże dobra na Litwie za wygrane pieniądze i żył jak magnat. Hojność jego miała nawet charakter szlachetny, gdy mieszkając w Wilnie łożył na uniwersytet tak jak żaden z magnatów, zapisując mu rozmaite koleje, a nawet dobra.

Szlachciec mniej lub więcej zamożny, jeżeli nie jeździł do Kijowa na kontrakty, do Berdyczowa na jarmark, gdzie zgrywał się do szeląga, lubił swoją wieś, bo tutaj mógł sobie woli próżnować sam lub w licznej towarzystwie. Taki szlachciec, domator, niby zajmował się gospodarstwem, lecz w grach i rzeczy zajęcia to traktował jako ćwiczenie gimnastyczne, bardzo pożyteczne dla zdrowia, bo budzące i utrzymujące apetyt i sen. Praktycznego pożytku z takiego zajęcia było bardzo mało, bo „pan“ jeździł konno lub w powozie, przyglądając się zdaleka wszystkiemu, a ekonomowie i asawulowie z nahajami „exekwowali“ pańszczyznę. Wyborny typ takiego wiejskiego próżniaka owej doby przedstawił nam H. Rzewuski w Domatowiczu. Skutkiem próżniactwa wyrabiała się także smakoszostwo, a nawet pospolite obżarstwo, osobliwe wśród starszego pokolenia. Nie było najlichszej wioski gdzieby szlachciec nie trzymał kucharza z kilkoma bodaj kuchcikami, a często dwóch i trzech ze stosowną ilością usługi. Szły o brzymie nieraz fortuny na dobrą kuchnię i gościnność, a nie wyłącznie pielęgnowanie podniebienia, jak i karciarstwo, przeciągnęło się także do r. 1863. Pod tym względem wytworzył się u nas osobny typ dziwaków — smakoszków, prawie nieznany gdzieindziej. Niezmiernie ciekawym okazem pod tym względem był Alojzy Wyrzykowski. U niego obżarstwo było

tylko chorobą, bo w takim razie mógłby się zadowolnić nie czem, lecz amatorstwem, przyjemnością, rozkoszą. Przygotowanie potraw i narady z kucharzami było jego pracą; wieczorne zajmowanie się kuchnią, jedzeniem i sobą podniecało jego apetyt. Posiadał on trzech kucharzy — pisze Czajkowski: — jednego do potraw mięsnych, drugiego do rybich, trzeciego do mącznych; prócz tego był jeszcze cukiernik — wszyscy byli artystami w swoim fachu. Zimą czy latem, na godzinę przed wschodem słońca, wyskoczywszy z łóżka, wsuwając nogi w pantofle i narzuciwszy na siebie szlafrok pan wybiegł do kuchni. Tu już był przygotowany kapłon pieczony na rożnie. Kucharz rozbierał go na części, a Wykowski pożerał kąski, ogryzając nawet kosteczki. Następnie wracał do pokoju i znowu kładł się spać. Zaledwie promienie słońca zaczęły się przedzierać przez okiennice, krzychał do nieba na całe gardło, że czasby pomyśleć o kawie. I tak szły jego trudy i zajęcia kolejną aż do nocy. A trzeba dodać, że u tych panów było bardzo wielu.

Pomimo tych wad byli to ludzie i dobrzy, i uczciwi i rozumni. Kupowali książki, czytali dużo, a nawet posiadali biblioteki. Brak troski o jutro i brak powagi umysłowej przekładał im do użycia czasu i sił swoich pożytecznie, a próżność małostkowa pędziła ich do ruiny. Niekiedy cel wielki i szlachetny rozbudzał uczucia obywatelskie, ale nie na długo.

II.

Na tle takiego różnobarwnego, wesołego a niezbyt prawdziwego życia urodził się i spędził młodość swoją Michał Wykowski aż do r. 1831, który jego wraz z innymi przeciągnął na pole walki a następnie za granicę, na emigrację. Jest to dziwne przeto, że wiele pierwiastków, zarówno dodatnich jak i ujemnych wsiąknęło w jego organizm duchowy, przeszło w krew i myśli i znalazło odbicie zarówno w późniejszym życiu, jak w pracy i jej charakterze. Poza tymi wpływami ogólnej natury, że tak powiem, działały także przyrodnicze wpływy szkoły i najbliższego otoczenia.

W kolną naukę rozpoczął Czajkowski w Berdyczowie,

stolicy niejako bałagulszczyzny szlacheckiej, ukraińskiej, w prywatnym zakładzie naukowym Anglika Wolsey'a. Był on nauczycielem wielkich książąt Mikołaja i Michała, braci cesarza Aleksandra I., a później dyrektorem liceum w Odessie. Nie długo wszakże wytrwał na tem stanowisku. Ustąpił z niego dobrowolnie, ale wskutek nieporozumienia, jak się zdaje, z generał-gubernatorem Noworossyjskim, księciem Woroncowa, a wówczas działalność swoją przeniósł do Berdyczowa, gdzie założył rodzaj szkoły czy konwiktu prywatnego, będącego wszakże pod dozorem władz urzędowych szkolnych. Ks. Michał Radziwiłł, naówczas właściciel Berdyczowa, oddał do jego dyspozycji obszerny dom z prześlicznym parkiem i sumę trzech tysięcy kroć sto tysięcy zł. pol. w celu otwarcia liceum. Tak przy najmniej utrzymuje Czaykowski w *Pamiętnikach*. Zakład Wolsey'a tem się różnił od innych, że posiadał więcej charakter wojskowy. Uczniowie byli tylko internanci. Nauka podzielona była na sześć klas, które odróżniały się od siebie kolorowymi wyłogami na granatowych mundurach, zrobionymi krojem ułańskim. Wszyscy wychowawcy mieli lance z chorągiewkami i drewniane pałasze; w każdej zaś klasie był inspektor, uważany za oficera. W nocy kolejno stawali na straży przy bramie w dębowym parku, dlatego aby wychowawcy przywykali do odwagi i służby wojskowej. Rozstawiano patrole i kiety. Nauka robienia bronią i konnej jazdy była obowiązkową. Kto chciał mógł trzymać własnego konia; kto nie miał, jeździł na koniach zakładowych.

Poza tymi żołnierskimi cechami wychowania, sposób i tryb życia miały charakter rodzinny, towarzyski. Każdy uczeń sam sobie słał pościel, porządkował rzeczy, służba czyściła tylko buty, ubranie i przynosiła wodę do umywania się. Pierwsze śniadanie, złożone z kawy lub herbaty, wydzielano samej p. Wolsey lub innym paniom, mieszkającym w zakładzie; drugie o 10-tej, złożone z dwóch potraw odbywało się także przy asystencji dam. Obiady i podwieczorki szły tym samym trybem. W niedzielę i święta przychodziła pensja pani Wikochlińskiej, goście zaproszeni, a przy muzyce bawiono się tańcami. Niekiedy uczniowie chodzili oddziałami na pensję żeńską lub do domów prywatnych dla zabawy. Słowem, młodych paniczów traktowano jak dorosłych, ostrożnie, grzecznie. Czego i jak uczono — na to trudniej dać odpowiedź.

To tylko pewno, że wychowanie i kształcenie miały charakter zupełnie szlachecki: nie praktycznego, a wszystko dla koloru, oglady, wygody, zdrowia. Przedewszystkiem tedy mówił język francuski, którym panice mówić musieli przez dni dwa, jeden dzień był poświęcony na język rosyjski, jeden na polski, tyleż na niemiecki i łacinę. Program szkolny, ustalany przez komisję, do której należał Tad. Czacki, obejmował tańce, muzykę, naukę konnej jazdy. Bliższych szczegółów tego programu nie znamy wcale i żaden z pamiętnikarzy nie podał go nam. Według notatki Czaykowskiego wykładali w tej szkole: Artemowski — zdaje się Hułak-Artemowski, późniejszy profesor literatury polskiej w uniwersytecie Charkowskim, matematykę i nauki przyrodnicze jacyś bracia Antonowicze. Słowem, oprócz nazwisk, i to niepewnych, nie wiemy więcej o profesorach tej szkoły niewiadomo. Jako ludzie niezależni od rządu, bawili się oni w rozmaite wolnomyślne rozmowy i marzenia, które w kilkadziesiąt lat później powtórzył w *Pamiętnikach* Michał Czaykowski. Nie można ich wszakże brać za prawdę, lecz za Wahrheit und Dichtung raczej, szczególnie dlatego, że niejednym wspomnieniom nadawał bezwzględnie podkład myślowy własnych marzeń i złudzeń. Była tam — powiada o szkole Wolsey'a — mozaika słowiańska, przeważał jednak duch kozacki i kozacka tradycja, ponieważ profesorowie byli zawziętymi ukrajinofilami, jakoteż dlatego, że w tem berdyczowskim kółku pielęgnowano przeszłość Zaporozża, złotą dumę o hetmanach Ukrainy, pieśni kozackie i *maloruskie* ¹⁾ i wiele innych utworów, które później ujrzały świat w Charkowie. Słów tych nie można brać na seryo. O panowaniu „ducha kozackiego“ w polskim społeczeństwie nie mogło być mowy; były to wyjątki, z którymi zetknął się przypadkowo Czaykowski. Rzecz oczywista, że rozmowom o przyszłości i przeszłości, które samą siłą rzeczy, musiały niejednokrotnie zajmować umysły współczesne, nadawał on we wspomnieniach zbyt wiele wyrazistości i dodawał własnych późniejszych myśli. O ile te spory szlachecko-kozackie, których oprócz Czaykowskiego nikt nie powtórzył, wyrozumieć wolno, garstka ukrajinofilów była „za wskrzeszeniem kozaczyzny, jako

¹⁾ Innych kozackich niema.

zakonu rycerskiego, który dla Słowian powinien być być tem cze krzyżacy byli dla Niemców, Templaryusze i rycerze maltańscy d ludów łacińskich“. W poglądach takich przeważał pierwiast arystokratyczny, żądny władzy, panowania; upatrywano w ko zactwie pewien stan, korporacyę, posiadającą cechy wybitn wojskowe lecz nie narodowe. „Kozak — to szlachcic-rycera utrzymywali oni, a Ruś — to chłopstwo, tłum, tłuszcza, czer hałastra, tałatajstwo“. Drugi prąd był demokratyczny, a ra czej demagogiczny, mocno podobny do tych rojeń sławiano filskich, jakie się objawiły około r. 1848, kiedy to chciane budować królestwo boże na ziemi przy pomocy Cyryla i Me todego. Otóż ten prąd religijno-demokratyczny opierał się na zasadzie, że ludzie wszyscy są równi w oczach Boga i t tak być powinno i wobec praw ludzkich; pragnęli jakiejś „ru skiej hramoty“, swobody i równości miejscowego samorządu, wogóle zaś pragnęli jakiejś „Rusi“. Pojęcia tego nie okre ślano ani geograficznie, ani etnograficznie, ani politycznie. Ba wiono się wyrazami. Zwolennicy kozaczyzny utrzymywali „że bez kozactwa i szlachty będzie panowanie tłumu, Gonty i Żeleźniaka, zabójstwa, pożary, spustoszenia; taką będzie owa „Ruś“. Drudzy zaś opowiadali: „wasze kozactwo, to knut w rękę silniejszego“. A trzeba przyznać, że ci i owi mieli racyę, biorąc każdą inną klasę, inną warstwę, inny czynnik za podstawę do „panowania“. Zgodzili się wreszcie na to, że złe poprawić może tylko jakaś wszechsłowiańszczyzna, której stolicą miał być stary Kijów. „Wszystkiemu temu — opo wiada Czaykowski — przysłuchiwałem się uważnie, wszystkiego tego wyuczyłem się na pamięć, jak modlitwy, jak dzie sięciorga przykazań boskich. Od tego dnia począłem myśleć o tej kozacko-słowiańskiej łączności — śniła mi się każdej nocy. Cała ta terminologia o kozactwie, o arystokracji, o de magogii i panowaniu ludu w Słowiańszczyźnie wbiła mi się jak gwóźdź w głowę. Pod wpływem tych zapatrywań rosłem, od nich nie odstępowałem w mem życiu politycznem i wi dzę, że na mnie sprawdziło się przysłowie: czem skorupka za młodu nasiąknie, tem na starość trąci“.

Istotnie, pamięć pokrewieństwa z Brzuchowieckim, he tmanem kozackim, spory i rojenia na temat kozaczyzny, jako jakiejś siły, na której jeszcze budować można coś na przy-

szłość, wreszcie zapoznanie się z marzeniami o wszechsłowiańszczyźnie, które później weszły jako podwaliny pod stowarzyszenie *Bractwo św. Cyryla i Metodego* — wszystko to do pewnego stopnia wpłynęło na usposobie i charakter myśli M. Czaykowskiego, gdy spróbował sił swoich w literaturze.

Wychowanie jego nie skończyło się bynajmniej na nasiakaniu wpływami „kozacko-szlacheckimi“, na ćwiczeniach i towarzyskiem życiu w zakładzie Wolsey'a. Zakład ten trwał niedługo — trzy lata tylko; po śmierci założyciela wszystko rozsypało się w gruzy, tak że młody pan Michał musiał przenieść się na naukę do Międzyrzecza, do Pijarów. Tu mu wszystko nie smakowało: ani życie ani nauka. Przedewszystkiem uczniów było za wiele, bo około tysiąca, następnie po arystokratycznie prowadzonym „liceum“ Wolsey'a, różnorodność żywiołu szkolnego i stopień życia zbyt może demokratyczny, nie sprawiały dodatniego wrażenia. Szkoła posiadała charakter wybitnie narodowy, na co w zakładzie Wolsey'a nietylko uwagi nie zwracano, ale przeciwnie, pożądanem było dla prosperowania zakładu zatarcie wszelkiej barwy narodowej. Francuski język górował tam nad wszystkimi, a inne były równouprawnione. Już same dysputy o „wszechsłowiaństwie“, „słowiańszczyźnie“, o „kozactwie“ były dowodem tego jak uczniowie mało interesowali się sprawami i rzeczami bliższymi. W porównaniu z wykwintnem, wesołem i wygodnem życiem „liceum“ Wolsey'a, szkolne życie w Międzyrzeczu nie przypadło do gustu młodemu Czaykowskiemu. Wszystko tu było, według jego mniemania miernotą — i profesorowie i uczniowie; profesorowie zachowywali się z małą godnością, byli za mało przewodnikami młodzieży, a za wiele — urzędnikami. Czaykowski robił im zarzut, „że nie starali się zbliżyć do miejscowego towarzystwa“. Z tych i innych powodów bogatsi obywatele nie oddawali dzieci swoich do szkół międzyrzeczskich, chociaż uczniowie tych szkół „w salonach nie ustępowali krzemienieckim“, a nawet, jakkolwiek Polacy, zmieniali się na prawdziwych Francuzów półnoocy. „Najgorszem to było, że niepoprawni Pijarzy“, gdy tylko rozlegała się wieść o powstaniu jakim lub wojnie, rzucali habity w pokrzywy i ubierali się w ułańskie lub artyleryjskie kurtki. Tak samo postępowali i uczniowie. Kuratorem szkół międzyrzeczskich był właściciel miasteczka Józef Stecki. Według kla-

syfikacyi autora Wernyhory należał on do „wyższej klasy kozaków“, pod względem zaś wykształcenia nie sprzeniewierzył się rodowej tradycyi Steckich, nie przekraczał poza klasę drugą. Gdyby nawet tak było istotnie, należeli oni, a szczególnie Józef, do ludzi rozumnych, bo doniosłość nauki przemawiał i posiadających ducha obywatelskiego, bo szkołę swoją ogromnymi funduszami wspierał.

Po trzechletnich naukach w Międzyrzeczu, matka postanowiła kształcić dalej swego jedynaka w Warszawie, pomimo jego kozackie sympatyje, jakimi nasiąknął w towarzystwie kolegów i profesorów zakładu Wolsey'a. Ojca młody pan Michał już nie posiadał. Rósł on swawolnie najprzód pod opieką dziadka z linii matki Głębockiego, wielkiego zawadyaki i dziwaka, a następnie kochany przez wszystkie ciotki bliższe i dalsze, jeździł wprawdzie do szkół, ale tylko dla Wolsey'a zachował najlepszą pamięć, nie dla tego bynajmniej, że tam najwięcej się uczył. Dla Pijarów nie miał wielkiej sympatyj, a Warszawa stanowczo mu się nie podobala. I nic dziwnego: przyjechał do niej rozhulany, rozwydrzony, nasiąkły „wszechsłowiaństwem“ i „kozacko-szlacheckimi“ ideami. Tego wszystkiego w Warszawie nie znalazł. Na wyjazd do uniwersytetu warszawskiego nie od razu zdecydował się i p. Michał i matka. Ze szkoły międzyrzeczkiej w 16-ym r. życia wyszedł bakałarzem matematyki i literatury „jak na obywatela, człowiekiem zupełnie skończonym pod względem naukowym“. Radość z tego powodu była wielka i matki, i rodziny, i nowego członka szlacheckiego społeczeństwa. Matka poczęła go traktować jak dorosłego mężczyznę: otrzymał do swego rozporządzenia konie, powóz, osobną służbę i dochody z jednej wsi. Ażeby go zapoznać z rodziną i powinowatymi i dać możność wejścia w świat niejako, matka poleciła mu zrobić objazd okolicy a na drogę dała trzysta dukatów. Udał się tedy najprzód do Radomyśla, do brata swego stryjecznego, a ponieważ tutaj stacyonował aleksopolski pułk piechoty, Czaykowski zapoznał się z pułkownikiem i oficerami. Przekonał się wkrótce, że w towarzystwie tem nie tylko pielęgnowano idee o „wszechsłowiaństwie“ ale także fryców zgrywano w karty. P. Michał zachęcony do faraona, siadł do poniterki, i dane mu na drogę przez matkę 300 dukatów co do grosza przegrał. Dalsza podróż tedy była prze-

twaną. Na szczęście stary sługa, towarzyszący Czaykowskiemu miał trochę grosza własnego i odwagę; poradził więc paniszowi rozplacić się w zajezdzie i wyjechać. Tak też się stało — opuścili niegościne towarzystwo w nocy i przyjechali do Halczyńca. Matka przyjęła tę wiadomość w milczeniu — żadnego wyrzutu mu nie zrobiła. Gdy się młody winowajca błakał po folwarku, nie wiedząc co robić, matka położyła mu na stole znowu 300 dukatów, a gdy wrócił, powiedziała stanowczo, że trzeba koniecznie rodzinę odwiedzić. W nową więc podróż wyruszył i plan matki wykonał. Przesiadywanie w domu, a raczej ciągłe rozjazdy i stosunki nie na dobrą drogę skierować mogły młodego zapaleńca. Zaglądał do Berdyczowa, bratał się z ulanami i huzarami. Awanturnicza żyłka odzywać się w nim poczęła. Wypadek zetknął go w Berdyczowie z młodym Mikulskim, którego rząd rosyjski posłał nad Dunaj, do Dobrudży w celu może zbadania sił resztek zaporoskich tam osiadłych lub może porozumienia się z nimi. Opowiadał tedy dziwy o owej kozaczyźnie za Dunajem. Nie chcący trafiał w upodobania i marzenia młodego wychowanka szkół międzyrzeckich. Zapalając się do tych opowiadań, Czaykowski powziął zamiar wstąpienia do wojska. Byłby może zamiaru dokonał, pomimo młodego wieku, gdyby nie ostrożność matki. Zmiarkowawszy rychło, że zawczasem pozwoliła synowi używać swobody, przerwała te marzenia objawieniem chęci wysłania syna do Warszawy do uniwersytetu na wydział prawny, w celu zaokrąglenia i zakończenia wykształcenia.

W ten sposób młody panicz znalazł się na innej drodze — nie bez pewnego upodobania zapewne, bo Warszawa była bardzo pociągającą dla wszystkich.

Rzemiennym dyszlem, odwiedzając znajomych i krewnych, jechał Czaykowski do Warszawy. Zwiedził Lublin, Puławy po drodze. W Warszawie miał krewną generałową Wąsowiczową, generał był szwagrem stryjecznego brata p. Michała, Piotra Czaykowskiego. Na wykwintnych salonach tej pani młody panicz ukraiński zapoznał się z wielu wybitnymi, mniej lub więcej, osobami. Tu poznał Juliana Niemcewicza, generała Chłopickiego, Władysława Zamoyskiego, z którym w życiu późniejszym zetknął się i w. in. Do uniwersytetu warszawskiego nie przyjęto Czaykowskiego na podstawie jedwnie świadectwa międzyrzeckiego — trzeba było złożyć

egzamin. Przepłynął jednak przez tę Seyllę i Charybdę myślnie.

Działo się to już ku końcowi trzeciego dziesięciolecia naszego wieku. Warszawa nie przedstawiała się bynajmniej tak burzliwą jakby się można było spodziewać i wnosić z wypadków, jakie wkrótce nastąpić miały. W towarzystwach bawiono się wesoło. Wielki książe ćwiczył swoją małą armię wywołując entuzjazm dla niej i dla siebie. Poza temi zabawami — na placach i w salonie, wśród młodzieży akademickiej panowała cisza, przerywana tu i owdzie próbami politycznego spiskowania. Niezadowolenia i spiski tajemne rysowały się wybitnie. To tylko rzecz pewna, że o Basi, kozaczyźnie, a tembardziej „wszechsłowańszczyźnie“ mowy tutaj nie było. Pod tym względem Czaykowski czuł się odosobnionym i niezadowolonym. Na młodzież warszawską patrzył zjadliwie i sądził ją niesprawiedliwie. Zdaje się było wzajemne boczenie się na siebie, a właściwie wzajemne niezrozumienie się. Gdy młody panicz ukraiński począł w Warszawie powtarzać to czego się trochę w domu, a więcej u Wolsey'a i oficerów nasłuchiwał, radzono mu żartem, zamiast do *towarzystwa zielonej księgi*, wpisać się do *towarzystwa zjadaczy befsztyków*, ukraińskich pierogów, lub paryskich obiadów. To wszystko wydawało się młodemu Ukraincowi obojętnością polityczną i było przyczyną, że się od towarzystwa kolegów odsunął, a natomiast kręcił się w kole „wyższego towarzystwa“, do którego wszedł za pośrednictwem jenerałowej Wąsowiczowej. Poza tem wszystko mu się nie podobało w Warszawie: młodzież była hulacką, panie bigotki, oficerowie polscy, w porównaniu z rosyjskimi, mieli mało „ogłady światowej“.

Tak rzeczy stały, gdy młody, światowy Ukrainiec otrzymał smutną wiadomość o chorobie matki i o chęci jej oglądania syna. Nie zwlekając tedy, powrócił do domu w sam czas jeszcze: matkę zastał przy życiu. Nie długo wszakże niem cieszyła się. W kilka dni po powrocie syna umarła.

Śmierć jej była epoką przelomową w życiu Czaykowskiego. Przedewszystkiem musiał przerwać nauki, a to czego się dotychczas nauczył, było bardzo niewiele. Następnie, skutkiem śmierci matki, musiał stanąć na czele interesów materialnych i objąć w posiadanie majątek. Wydzielił z niego

Wne części siostron, a sam został posiadaczem Halczyńca, gatówki i Siomak. Po jednym ze stryjów swoich wkrótce także odziedziczył duży majątek ziemski, składający się z Czaykówek, Sieniawki, Krętego-potoku i Bykówki; przytem była tu szklanna, w Czaykowie i Krętym-potoku fabryki żelaza, w Bykowie fabryka wyrobów drzewnych. Wszystko to razem wynosiło dwa tysiące kilkaset „dusz“ włościan i 300 włók lasu drzewa masztowego. Taka pozycja materyalna stawiała go w rzędzie bardzo zamożnych obywateli ziemskich czyniła jednym z pożądaných kandydatów do stanu małżeńskiego. Młody panicz zamknął się z początku w nielicznym otoku najbliższego sąsiedztwa i namiętnie oddał się polowaniu, w którym jego energia znajdowała dostateczny upust. W tym czasie doznał także silniejszych wrażeń miłości. Przedmiotem jego afektów stała się panna starsza od niego, ale zalona entuzyastka i wielbicielka poezyi. Była to panna Severyna Zaleska, córka marszałka Zaleskiego z Pilip. O małżeństwie nie mogło być mowy z powodu różnicy wieku, toż cała ta miłość zakończyła się gorącemi dysputami o Byronie i Walter-Scocie.

Nowe stanowisko „obywatela“ w wielkiej rodzinie szlacheckiej, wkładało na niego obowiązki, wynikające zarówno z solidarności stanowej jak i osobistych interesów. Skutkiem tego musiał coraz częściej z samotności Halczyniec wychylać się. Wielkiem ogniskiem zabaw i interesów ówczesnych był Kijów. Sławne niegdyś kontrakty Dubieńskie przeniosły się do starożytnego Kijowa, a z niemi i liczne zjazdy szlachty. Udał się tedy do Kijowa i Czaykowski w licznym bardzo towarzystwie w początkach stycznia 1830. To zetknięcie się z miastem dużem, rozbawionem, w którym złoto pobrzękiwało wszędzie, a żyły jeszcze tradycye polskie, ogromny miało wpływ na żywy i wrażliwy umysł młodzieńca. Z poezją w duszy, obdarzony łatwością przyjmowania wrażeń, tak powiem, barwnych, rozkochał się w Kijowie. Zdawało mu się, że widzi w mieszczaństwie kijowskiem resztki dawnej kozaczyzny, w milicyi miejskiej, ubranej jeszcze po dawnemu — zmartwychwstałych kozaków, a wszystkie rozmowy na temat marzeń warszawskich wydawały mu się echem rozbudzonego kozackiego życia. Z prawdą i rzeczywistością nie liczył się i nie umiał się liczyć; złudzenia i wrażenia brał za rzeczy-

wistość i przetwarzał je w żywym swoim umyśle na obrazy napół fantastyczne. Rojno, huczno, wesoło było. Z całym pasem świeżości młodej duszy rzucił się „Zahonystry“ Ukraini w ten wir hulaszczy życia, czerpał sam pełną garścią anegdoty, legendy, fraszki szlacheckie, plotki i romansowe wieści, które później przetwarzał na obrazy własnej swojej oświetlonej fantastycznem światłem, Ukrainy.

Gdy w Królestwie przygotowywały się smutne wypadki które miały wkrótce wybuchnąć, na Rusi patrzono na to obojętnie a nawet z pewnem niedowierzaniem i lekceważeniem. Bawiono się z zapomnieniem młodego wieku; oficerowie gwadyjscy rej wodzili wśród młodzieży i szlachty. Mała garstka zaledwie inaczej była usposobioną. W tem towarzystwie miłośzanem, w którym żyli Czetwertyńscy, Rzewuscy—Adam i Henryk — i mnóstwo drobiazgu szlacheckiego, wyrastającego na późniejszych panów, żył Michał Czaykowski. Nad obojętnością poczęło powoli brać górę rozbudzenie się krajów ruskich i objawiały się coraz życzliwsze sympatyje dla królestwa. Ale to do rzeczy nie należy, a Czaykowski w ruchu przygotowania wawczym żadnej roli nie odegrał; brał go gorąco, tak jak większość współtowarzyszów jego zabaw i przygód i na tem się wszystko kończyło. Zaczynał wchodzić powoli w tryb powszechnie panujących w szlacheckiem społeczeństwie warunków życia. W czasie pobytu cesarza Mikołaja I, w Kodań w Żytomierzu, na balach szlacheckich bywał, bawił się, tańczył, a nawet, zwróciwszy na siebie uwagę cesarza, został kamerjunkerem. Cesarz dał mu do zrozumienia, że w Petersburgu karierę wojskową mógłby zrobić i kto wie czy p. Michał nie byłby poszedł tą drogą, gdyby późniejsze wypadki nie wyrzuciły go z kolei. Zwrócenie uwagi na niego cesarza zwiększyło jego popularność do tego stopnia, że na wyborach powiatowych w Żytomierzu, pomimo że nie miał jeszcze pełnoletności, został większością jednego głosu w walce wyborczej z Janem Głębockim, krewnym swoim, marszałkiem wybrany. Ustąpił wszakże pierwszeństwa wujowi.

Tymczasem wypadki warszawskie rozwijały się coraz szybciej i płomień ogarniać począł sąsiednie prowincye. Nie brak było takich, którzy objeżdżali Wołyń, wędrując od komina do komina, i zachęcając do zbrojnej dywersyi na korzyść walczących w Kongresówce. Tu i ówdzie odbywał się

osy przychylnie. Dopiero wszakże Wincenty Tyszkiewicz pierwszy zorganizował pomoc w pieniądzech i ludziach. Jak się rozwinęły wypadki powstania w ziemiach ruskich, nad tym zastanawiać się nie będę, gdyż przedewszystkiem w niemyślnym one nie wpłynęły na charakter, usposobienie i rozwój polityczny Michała Czaykowskiego, a następnie nie odegrały w tym ruchu żadnej wybitnej roli. Jako porucznik w oddziale tak zwanej jazdy wołyńskiej Karola Różyckiego, przeżył krótką kampanię, poczem wyparty do Galicji, emigrował do Francji i tu dopiero rozpoczął swoją działalność literacką. Do tej też doby jego życia przejdziemy teraz.

III.

Rząd francuski internował znaczną część Polaków w Bourges. Zgromadzenie większej ilości ludzi młodych, pozbawionych regularnej pracy, a często i środków do życia, wytworzyło w małym miasteczku ognisko swarów, niezadowolenia i tego co się stało i jak się stało, i rozwinęło w wysokim stopniu ducha krytyki. Zarówno w tem małym miasteczku jak i w innych ludzie poczęli się grupować pod hasłem dwóch idei: arystokracji i demokracji i prowadzili zażartą między sobą wojnę. Pierwsi gromadzili się koło idei monarchicznej, którą utożsamiali z ładem, porządkiem i marzyli za jej pośrednictwem odzyskać to, co utracili dziadowie i ojcowie. Brakło tylko na razie przewodnika, a raczej widomej głowy, koło której mogliby się skupić współwyznawcy. Stanowisko to powoli zdobył sobie powagą, taktem i rozumem ks. Adam Czarstorski, niegdyś kurator okręgu naukowego wileńskiego ¹⁾.

¹⁾ Część emigracji polskiej wystosowała do ks. Adama list, wzywający go niejako do tego, ażeby na czele interesów polskich stanął. „W krytycznym położeniu tułactwa, nie widząc godziny życia lub skonu nadziei naszych; spostrzegamy dalej, że rozrzucony po wolnych dziedzinach Franków, nie mamy żadnego punktu, któryby centralizował opinie nasze i któryby zarazem jednym silnym i nierozzerwalnym węzłem połączył rozprószone szczątki tułactwa i ustalił siłę jedności, całości, coby się i czasowi i wszelkim zamachom bezpiecznie opierać mogła, postanowiliśmy stworzyć takową reprezentację, któraby, będąc wypełnie-

Grupa postępową, jeżeli można ją tak nazwać, skupiła koło *Towarzystwa demokratycznego*, założonego 17 marca 1833. Uznawali oni potrzebę przeprowadzenia pewnych reform społecznych, mających służyć podwaliną przyszłej pracy skupionych sił demokratycznych na emigracji, jakoteż przyszłego ustroju Polski. Niektóre z postulatów tego *Towarzystwa*, wyrażone w manifestie z r. 1836 były postawione jasno, śmiało i trafnie, inne należy uważać za błędy wynikłe z teorii staryozoficznych Lelewela. Manifest głosił, że przyszła Polska będzie demokratyczną, że wszechwładztwo wróci do ludu, że lud powinien być usamowolnionym w ten sposób, aż stał się właścicielem uprawianej ziemi. W owej idealnej przyszłej Polsce wszyscy mieli być równi i wolni. Wszelkie „binetowe układy“ odrzucano. „Wszystko dla ludu i przez lud“ — oto była najogólniejsza zasada owoczesnej demokracji. Błędem natomiast było twierdzenie, że dawna Polska „rozwijała demokratyczną ideę Słowian“ i że po upadku Rzeczypospolitej idea powyższa straciła reprezentacyą. W owe czasy ani świadomego zrozumienia tej idei nie było, ani też Polacy walczyli o nią, jako celu państwowego, przed sobą nie mieli. W walkach naszych nie poczucie współplemienności i potrzeby obrony, lecz idea chrześcijańska była przewodnią.

W sporach bratobójczych, toczonych na bruku Bourges, Poitiers, a głównie w Paryżu, Czaykowski udziału nie brał prawie żadnego. Z demokracją nie sympatyzował; a z autokratą, przedmiotem gorących napaści większości wychodźców, nie była jeszcze zorganizowaną. Wkrótce po przybyciu do Bourges, młody, rezolutny i gładki szlachcic ukraiński, wszedł do towarzystwa francuskiego i w jednym z domów mieszczeskich poznał piękną córkę miejscowego architekta. Z natury kochliwy, zakochał się prędko, i niedługo czekając, ożenił się, a wkrótce potem przeniósł się do Paryża na stałe mieszkanie. Tu, dzięki swemu materialnemu stanowisku w kraju

niem woli całego ogółu tułactwa, odpowiadała gwałtownej potrzebie centralizacyi. — —“ Znajomość dyplomatycznych operacyi, regularne stosunki wskazywały ks. Adama, dlatego też emigracya „prawie jednomyślnie“ prosiła go „aby na tej drodze wobec władców Europy upominał się o życie wolnej, całej i niepodległej ojczyzny naszej“. (Nowa Polska, 1833, str. 11).

bliżył się do obozu arystokracji: zapoznał się z ks. Adamem Czartoryskim, z hr. Czarkowską, z panią Białopiotrowiową, urodzoną ks. Giedroyć, odnowił znajomość z hr. Wład. Amoyskim. Były to stosunki dość zażyłe, bo, kiedy poczęły pać się dzieci, pierworodnego syna Adama — Michała przyszedł do chrztu ks. Adam; Władysława — Władysław hr. Zamoyski z Białopiotrowiczową. Później przybyły jeszcze córki: Karolina, która wyszła za mąż za Suchodolskiego, inżyniera, Michalina, najmłodsza, za dra Gutowskiego. Synowie otrzymali wykształcenie wojskowe w Saint-Cyr, a później weszli obydwaj do służby tureckiej, do Kozaków Ottomańskich. Starszy towarzyszył w r. 1871 ojcu w powrocie jego do Rosyi i wstąpił do armii rosyjskiej w stopniu pułkownika; drugi, chociaż nie zmienił swego wyznania chrześcijańskiego przyjął później tytuł Muzaffer-Paszy, dosłużył się stopnia generała dywizyi, jest adjutantem Sułtana i zarządcą cesarskiej kaducy.

Życie rodzinne w Paryżu, usunięcie się od hałaśliwego ruchu emigracyjnego, przyczyniły się niemało do skupienia się w sobie, do odtwarzania w pamięci tego życia, które na stronach ojczystych przeżył, i tych ludzi, których znał lub słyszał o nich. Reminiscentye osobiste z dodatkiem różnych myśli i poglądów o kozaczyźnie, które bezwiednie ale silnie wsiąknęły w jego organizm, były pierwszym impulsem do odtworzenia według własnych pojęć kozackiego życia i ludzi. Tą drogą zapewne powstały *Powieści kozackie*, które w r. 1837 wyszły w Paryżu, były przyjęte bardzo życzliwie i polecały Czajkowskiego na drogę pracy literackiej.

Ażeby nie przerywać ciągłości opowiadania, zajmę się najszerszym losem życia i pracy późniejszego Sadyka-Paszy, i działalnością literackiej poświęcę osobny rozdział.

Zanim Czajkowski zabrał się do pisywania powieści, już był się poprzednio dał poznać z artykułu o kawalerji, zamieszczonym w piśmie *Le Spectateur militaire*. Artykuł ten wrócił na siebie uwagę ówczesnego ministra wojny marszałka Gault. Marszałek zapragnął go poznać, poznał i zaproponował mu wstąpienie do służby francuskiej w stopniu, jaki polecał w oddziale Różyckiego. Z tym zamiarem odesłał go do generała Schneider'a, który mu oświadczył, że gotów jest przyjąć go, jeżeli zechce, do legionu cudzoziemskiego. Czaj-

kowski odmówił. Zanim jednak do tego przyszło, poszedł ks. Adama, przedstawił mu całą sprawę i o radę zapytał. Czartoryski odradził. „Zostań ze mną — rzekł — pracujmy razem, w nas tylko samych i w Bogu pokładając nadzieję”. Ks. Adam w owe czasy już miał sformułowane główne zasady swojej polityki — wewnętrznej, — w stosunku do emigracyi i zewnętrznej — w stosunku do państw i interesów europejskich. Co do pierwszej — nie zwracał żadnej uwagi na emigracyjne swary, wzajemne oczerniania się i krytyki; wobec zaś rządów francuskiego i angielskiego zajmował stanowisko prawowitego reprezentanta sprawy polskiej i dążył do otrzymania od nich przyrzeczenia, że żadne decyzje nie będą powzięte, dotyczące emigracyi szczególnie, bez narady z jej reprezentacją. W ten sposób zdawało się że można będzie stworzyć rodzaj programu polityki zewnętrznej, odpowiadającego potrzebom bieżącej chwili.

Po tej stronie stanął Czaykowski, czyli przyłączył się do stronnictwa, jak wówczas mówiono, arystokratycznego. Z działalnością towarz. demokratycznego nie sympatyzował. Był on zanadto szlachcicem, nasiąkłym warstwami przywilejów, a w stosunku do innych warstw społecznych, jakoteż do ludu uznawał tylko drogę łaski i osobistej woli. Krytykę działalności i zasad *tow. demokr.* wyraził słowami jednego z swoich bohaterów: „Wszystkich waszych andronów nie rozumiem, to nie przy mnie było pisanem; szlachcic polski jest stem i wyście szlachta, albo się kłómy i bijmy, albo się godźmy i pijmy. Pszczoły bez matki, stado bez ogiera nie chodzi na tym bożym świecie; naszą polską matką, naszym ogierem był król od wieków. Trzeba króla, żeby kazał szlachcie na konia i na wroga, a chłopom powiedział: bijcie się a jesteście szlachtą; po zwycięstwie, jak będziemy sami u siebie gospodarzami, król każe dać ziemię tym, którzy jej nie mają, a tym, którzy jej zanadto mają, weźmie i zapłaci pięć niedźmi; da wszystkim równe prawa i przywileje, nikomu nie zabierze, a wszystkim da; nikogo nie poniży, a wszystkich podwyższy. Precz z cudzoziemskimi demokracjami, republikami; uszlachceni chłopci z mieszczanami, i żydzi, i cygani ze szlachtą będą Polakami, a nad nimi król z prawem” (Pisma t. IX, 130).

Mniejsza z tem jakby wyglądała owa Polska z same

lachty złożona, bo i uszlachceni przeszliby do jej szeregów, śc, że w taką szlachecką Polskę Czaykowski jakiś czas zerzył na seryo ¹⁾.

Przyjąwszy program polityczny ks. Adama, pracować w tym kierunku zaczął, dodając i swoich poglądów nie mało, które z czasem do polityki jego stronnictwa weszły. Było to prowadzenie do niej pod różną formą „idei słowiańskiej“. Uważał tedy przedewszystkiem potrzebę zbliżenia się do Rzymu. Jakkolwiek wyznawał przekonanie, że katolicyzm oderwał Polaków od słowiańszczyzny, jednakże wiedział, że jest jeszcze tak potężną siłą żywotną świata cywilizowanego, że nawiązanie z nim stosunków politycznych, za pośrednictwem Rzymu, uważał za rzecz niezbędną. Następnie pragnął innych stosunków politycznych z Turcyą, jako z państwem, które w końcu XVIII w., w chwilach najcięższych Rzeczypospolitej, było się dla innej przychylnem. W końcu życzył nawiązania stosunków z narodami chrześcijańskimi półwyspu Bałkańskiego, a głównie ze Słowianami. Wierzył on z wielką pewnością, że najłatwiej dążyć można do restytucyi praw drogą układów dyplomatycznych, a w tym celu należałoby stworzyć rodzaj ciała dyplomatycznego na emigracyi, któreby nad interesami polskimi czuwało. W skuteczność żadnych rewolucyj i spisków nie wierzył, gdyż uważał, że Polacy nie są w stanie prowadzić skutecznej walki z trzema potężnymi mocarstwami. Stąd też był nieprzyjacielem wszelkiej prowokacyi.

Według jego mniemania należało akcyę rozwinąć poza krajem, poza krajem przygotować siły wojskowe i wpływy polityczne, które w razie wojny mogłyby na korzyść interesów narodowych polskich działać i kierunek im nadawać. Na cele takiej akcyi powinna być głowa widoma, człowiek o ile możności znany w świecie politycznym i popularny w kraju, zajmujący takie stanowisko na pół legalnie, przy tem nie za-

¹⁾ Na lewym flanku *Tow. demokr.*, jako harcownik, posiadający obfity słownik łajanek, zaliczał się J. B. Ostrowski. O nim *Pszonka* wyraził się dowcipnie: „Pan J. B. O. ciągle zapisuje zapisuje, że *Tow demokr.* — to nic; centralizacya jego — także nie, i o tem *nic*, pisząc krótko, już kilkanaście półtarkuszy zapisał. O panu J. B. O. nie można powiedzieć, że jest *nic*, jest *coś*, jest *coś* tak dziwnego, że jak je wyciśniesz, otrzymasz właśnie — *nic*“. (R. 1839, nr. 6, str. 35).

den rewolucyonista, a tembardziej demokrata. Nie był to bynajmniej pogląd Czaykowskiego tylko. Oczywiście według takiej dyrektywy najlepiej odpowiadał życzeniom pewnej części emigracyi ks. Adam Czartoryski. Na tym też punkcie nastąpiło zobopólne zbliżenie się i zapewne Czartoryski począł Czaykowskiego do różnych missyi używać. Rozpoczęto od gruntu paryskiego, na którym trzeba było przeprowadzić porozumienie z Turcyą i południowymi Słowianami. Ambasadorem Porty, Teethi-Pasza i Reszyd-Pasza pracowali oddawać i usilnie nad tem, ażeby w prowincyach swoich naddunajskich, gdzie polityka rosyjska starała się zapuścić korzenie stworzyć jakieś ognisko odporne Rosyi. Dla nich tedy nielegalna i nieuznana jawnie, a jednak czynna polityka polska w sprawie wschodniej, bardzo była na rękę. Plan przeto zbliżenia się ze Słowianami bałkańskimi odpowiadał niejako ich myślom i zamiarom, nie przeto dziwnego, że uznanie znalazł

Czaykowski miał go w czyn wprowadzać stante pede w Paryżu. Mieszkała tam gromadka Serbów, Bułgarów, Wołochów, z którymi przedewszystkiem nawiązał stosunki p. Miuchał, zapoznał ich z ks. Adamem, który nad nimi rozciągnął rodzaj opieki. Jak te sprawy i jaką drogą szły — nie wiemy dokładnie, gdyż paryskie archiwum ks. Czartoryskich jest tylko dostępne dla tych, którzy polityką i działalnością polską na wschodzie nie zajmują się. Dość, że ciągnęły się te przedwstępne przygotowania aż do r. 1840. W tym roku Czaykowski, w myśl wiązania sprawy polskiej ze sprawą katolicyzmu, udał się do Rzymu, zaopatrzonego w listy polecające ks. Adama do Papieża Grzegorza XVI. Entuzjastycznego przyjęcia tam nie spotkał. Przedewszystkiem powitali go bracia Zmartwychstańcy uprzejmie ale chłodno, dając do zrozumienia, że trudno mu będzie uzyskać audyencyę zarówno u kardynała ministra jak i u Papieża. Mimo to wszakże Czaykowski dotarł zarówno do kardynała Lambruschini'ego jak i do Ojca św. Wątpić należy czy z tego widzenia się wynikały jakie poważne rezultaty. Papież ograniczył się do zwykłych ceremonialnych oświadczeń, zapytał o sprawy polskie, o rok 1831 — i na tem koniec. Kardynał napisał do ks. Adama bardzo słodki list, chwalać oddanie się i zręczność Czaykowskiego. Chodziło tu, jak się zdaje, o utworzenie rodzaju missyi katolickiej na wschodzie i o połączenie jej w akcję pol-

ezną wśród Słowian bałkańskich na korzyść Polski. Poselstwo od ks. Adama podchwyciły pisma krajowe *Pszonka* i *Młoda Polska* i wyśmiały je. Ubodło to Czaykowskiego. A ponieważ w tej całej sprawie zachowywał się bardzo tajemniczo, podejrzewał zakulisową działalność hr. Władysława Zamoyeńskiego, z którym się ustawicznie stykał niby na jednej drodze, ale wcale mimo to walczył, jakoteż hr. Cezarego Platera. Na emigracyi szarpali go nieraz ostro Zienkowicz i M. B. Ostrowski, krzykacz emigracyjny. Czy usiłowanie Czartoryskiego, dorozumienia przy Papieżu za pośrednictwem Czaykowskiego, rozbicia agencji dyplomatycznej polskiej, powiodło się, dziś trudno orzec stanowczo; tem trudniej powiedzieć w jakiej to mierze miało miejsce. To tylko jest rzeczą pewną, że myśl nie dała się utrzymać i urzeczywistnić.

Zanim się jednak ułożyła misja polityczna Czaykowskiego do Rzymu i na wschód, próbowano zainaugurować politykę słowiańską na wschodzie, wiążąc ją z interesami Francji, Anglii i Turcyi. W sprawę tę wniósł się, jak to się często zdarza, awanturnik, Czarnogórzec, niejaki Wasowicz, nazywający się księciem. Wykształcony w szkole kadetów w Petersburgu, ożeniony z Rosyanką Kisielewską, wysłany został na Kaukaz dla zdjęcia rozmaitych planów. Plany zdjął, nie opuścił służbę rosyjską i przybył z nimi do Carogrodu, gdzie złożył do dyspozycyi Wysokiej Porty. Seraskierem był ówczas Hozrew-Pasza, za pośrednictwem którego Wasowicz został mianowany profesorem w szkole inżynierskiej. Na rekomendację wszakże rządu rosyjskiego, domagającego się wymiany jego, musiał służbę opuścić. Wówczas wzięła go w opiekę Anglia. Lord Ponsonby, ambasador angielski, mianował go konsulem angielskim w Nowym-Bazarze, na granicy Czarnogóry. Wasowicz wywołał tam jakąś awanturę, w której zabił dwóch Muzułmanów, a unikając zemsty mieszkańców, umknął do Serbii, gdzie książe Miłosz dał przytułek jemu i jego rodzinie. W Belgradzie nie miał jednak wiele do czynienia dlatego szukał sposobności zaofiarowania swoich usług Francji. W tym celu przybył do Paryża, został przedstawiony marszałkowi Soult i otrzymał polecenie weryfikowania map wojennych, znajdujących się w generalnym sztabie francuskim. Jako zdolny oficer, Wasowicz wywiązał się ze swego zadania dobrze, i do planów, nawiązania stosunków na Wschodzie

dzie, był polecony ks. Adamowi i hr. Wład. Zamoyskiemu. Człowiek zręczny, gładki, wykształcony, wymowny, znał dobrze język francuski a nawet polski, potrafił obudzić w sobie nadzieję, a co ważniejsze zaufanie. Już do Paryża przyjechał z pretensjami do tronu czarnogórskiego i pretensje te podtrzymywał. Jakiej one były wartości, trudno orzec, a zresztą do opowiadania to nawet nie należy; chodzi o to, o ile rola Wasowicza związaną była, a raczej o ile i jak starano się związać ją z interesami Polski. Wykazano temu pretendentowi przedewszystkiem potrzebę zmiany wyznania na wschodniego na katolicyzm i pod tym warunkiem obiecał go popierać na tron. Współcześni posądzali o to ks. Wład. Zamoyskiego i Platera, którzy potrafiliby ks. Adamowi wytłumaczyć doniosłość popierania tego pretendenta. Układy z Wasowiczem odbywały się w tajemnicy, a Czaykowski, jak się zdaje, stał na uboczu. Tajemnica nie była jednak zbyt ścisłą, gdyż część wychodźców, zbliżona do Hotelu Lambert, wiedziała co się święci, a co ważniejsza patrzono na tę akcję nieprzychylnie, upatrując w niej pewnego rodzaju kompromitowanie się widomej głowy emigracji polskiej.

Wasowicz, który w rzeczach wiary był człowiekiem obojętnym, chętnie podjął się politycznej roli, upatrując w zmianie religii środek zdobycia pieniędzy na własne cele. Wzięty pod opiekę tego dziwnego księcia, otoczono go całym sztabem oficerów, co tem łatwiej dało się zrobić, że pieniądze dostarczył marszałek Soult. Farsa ta polityczna, w której niepoślednią rolę odegrał hr. Wład. Zamoyski, miała się rychło zakończyć. Tymczasem wystarano się przy pomocy tej samej dewotki pani Beamont o kupienie okrętu dla całej ekspedycji, utworzono dla przyszłego księcia panującego wśród Polaków i Irlandczyków i zawarto formalny traktat w imieniu ks. Adama, który później został ogłoszony przez „Pszonkę“¹⁾

¹⁾ „Sam Serwantes zdumiałby się na takie poprawne wydanie, na takie zastosowanie do spraw polskich swojego Don-Kiszota“ — tak się odezwał *Pszonka*, przytaczając „Traktat między Jego Wysokością ks. Adamem Czartoryskim, a Jego Wysokością ks. Wasowiczem, „ożywionym chęciami przygotowania szczęśliwej i pomyślności ludom plemienia słowiańskiego“. Traktat ów składał się z 15 paragrafów, z których kilka ważniejszych są następujące:

nią część materyalną w całej ekspedycyi wziąć miał na
oje barki Papież, ponieważ chodziło tutaj o przywrócenie
ono kościoła katolickiego Słowian południowych. Waso-
cz odjechał do Rzymu, hr. Cezary Plater, za pośrednictwem
Montalambert, gorliwego katolika, postarał się o wyrobie-
mu audyencyi u kardynałów i Ojca św. Towarzystwo
przenia wiary chrz. w Lugdunie miało się także jednym mi-
nem franków przyczynić do zwycięstwa katolicyzmu. Wszy-
to zdawało się być na najlepszej drodze, gdy nagle Porta
protestowała przeciwko całej robocie. Po stronie Turcyi
miał lord Palmerston, utrzymując, że wywoła to zamieszania
wschodzie wcale niepożądane. Istotnie, trudno było zro-
mieć tę politykę, dążącą wyraźnie do wywołania burzy na
łkanie, a zatem działającą wbrew interesom W. Porty,
równocześnie wbrew celom zasadniczym polityki polskiej:
rzymania całości Turcyi i wzmocnienia stanowiska Sułtana.
kwiliła w tem jeszcze i ta strona niebezpieczna, że występu-
przeciwko religii wschodniej, wywoływało się także widmo
łki z Rosyą.

W Konstantynopolu siedział wprawdzie z ramienia re-
zendentacyi emigracyi gen. Chrzanowski, ale rezultaty jego
bytu były bardzo małe, tak samo jak Wereszczyńskiego,

§. 2. Ks. Adam Czartoryski uznaje za rzecz pożyteczną
sprawy ludów plemienia słowiańskiego, aby ks. Wasowicz
był jak święty turecki uorganizował plemię, którego był na-
elnikiem (miał się za Naczelnika), jakoteż innych Słowian, któ-
yby z własnej woli uznali jego zwierzchnictwo. Ze swej strony
Wasowicz uznaje za rzecz nieodzowną dla pomyślności lu-
w słowiańskich niepodległy byt Polski w jej dawnych grani-
ch, jakoteż wszelkie władztwo ks. Adama Czartoryskiego nad
wielkim narodem.

§. 4. Ks. Czartoryski zobowiązuje się dostarczyć p. W.
1000 fr., 300 Polaków oficerów i żołnierzy, 15.000 karabinów.

§. 6. Przy boku ks. Wasowicza miał być ajent ks. Czar-
toryskiego.

§. 10. Ks. Wasowicz zobowiązał się na żądanie ks. Czarto-
toryskiego zorganizować w swoim kraju korpus polski, udzielić
schronienie, kwaterunek i protekcyę. (*Pszonka*, art. *Gra w mo-
wchów* str. nienumerowane).

Wasowicz z całym tym aparatem udał się do Rzymu z za-
waniem wciągnięcia do gry Papieża. Opowiadano na emigracyi, że
ta ta wyprawa zakończyła się bardzo niewesoło.

który jeszcze od r. 1831 tam przesiadywał. Akcja ich na wschodzie była tak drobną i niewyraźną, że po nieudanej ekspedycji Wasowicza, okazała się konieczna potrzeba poprawienia błędów i nawiązania nowych stosunków w Turcyi. Tu postać Czaykowskiego wśród otoczenia ks. Adama wyszła się poniekąd na czoło. Myśl działania z Turcyą wspierała się, ażeby w tej wspólności znaleźć interes Polski, jak głosił Czaykowski, odpowiadała intencyom zarówno Reszid-Paszy jak i Guizota. Rozbudzenie żywiołów słowiańskich w Turcyi przeciwko Rosyi i połączenie ich niejako ze sprawą Polski, była jedną z tych mrzonek politycznych, która nie miała żadnej podstawy ani historycznej ani praktycznej. Ażeby jej nadanie jakiegokolwiek pozory prawdy, obrońcy tej chimerycznej teorii sięgać musieli aż do Władysława Warneńczyka, podsuwając pod hasła religijne ideę obrony narodowości słowiańskiej. Według teorii historycznych Czaykowskiego przyczyną upadku Polski było oddzielenie się jej od wspólnego interesu Słowian i od Słowian wogóle. Skutkiem tego wlokła się ona, że tak powiem, na ogonie polityki zachodnio-europejskiej i stała się igraszką w ręku Niemców i innych państw Europy. Ażeby poprawić ten wiekowy błąd, należało do Słowian się zbliżyć. Czaykowski wybrał drogę zbliżenia się przez południowych Słowian, najmniej uświadomionych politycznie, niewykształconych państwowo i kulturalnie, nie nadających się więc zupełnie do roli pożytecznego alianta. Pominęto natomiast Czechów, z którymi związek mógłby być istotnie dla sprawy słowiańskiej pożyteczny.

Zadanie polityczne Czaykowskiego na wschodzie, przy zetknięciu się z rzeczywistym położeniem rzeczy, znacznie się zwięziło, a raczej wyrobiły się inne dyrektywy postępowania nie pozbawione pewnej słuszności.

Wyjechał tedy Czaykowski na Wschód w r. 1844 w charakterze członka korespondenta instytutu historycznego w Paryżu z misją niejako urzędową, nadaną mu przez Guizota, robienia studyów historyczno-etnograficznych w prowincjach słowiańskich cesarstwa otomańskiego. Stanowisko takie pozwoliło mu korzystać z urzędowego poparcia rządu francuskiego, a równocześnie jako agent dyplomatyczny ks. Adama mógł reprezentować do pewnego stopnia interesy polskie i w tym kierunku rozwinąć agitację.

Jak działał Czaykowski, wśród jakich okoliczności, z jami ludźmi i jakie rezultaty osiągnął — pozostało to do czasu po większej części tajemnicą archiwum Hôtel Lambert. Na podstawie pogłosek i sądów emigracyjnych, często ronnnych i nacechowanych żarliwością partyjną, można byłoby tylko zbudować gmach z mniej lub więcej prawdopodobnych domysłów. Taką pracę uważałbym wszakże za bezcelną. Muszę ograniczyć się przeto do mniejszej ilości szczegółów, do dat pewniejszych i zatrzymać się dopiero na chwilę omyślów, które, jakkolwiek również starannie przechowywane w tajemnicy archiwalnej, stały się jednak, skutkiem swojej otwartości i jasności, dostępne dla przedstawienia historycznego.

Przybywszy w końcu października r. 1841 do Konstantynopola, Czaykowski zastał liczną kolonię Polaków, na czele której stał Wereszczyński. Oprócz niego przebywali tam także Ludwik Zwierkowski, znany pod nazwiskiem Lenoir'a, jako wysłaniec krewnego swego, posła, Walentego, mający misję konsolidowania emigracji. Wogóle w życiu emigracyjnym nadzwyczaj burzliwym i kłótliwym, poczęły ujawniać się dążności pojednawcze, jako wynik potrzeby zjednoczenia sił. Próbą tego zjednoczenia pod hasłem „demokracji szlacheckiej“, podjętą została przez wojewodę Antoniego Ostrowskiego, posła Jana Leduchowskiego, generała Józefa Dwernickiego; nawet Lelewel nie uchylał się od tej akcji. Rola Ludw. Zwierkowskiego była nie wyraźną. To tylko jest rzeczą pewną, że z początku występował przeciwko ks. Adamowi Czartoryskiemu, przynajmniej, że czynności jego agentów kontrolował i składał o tem raporty do Paryża, gdzie przedostawały się do dzienników emigracyjnych i służyły za materiał polemizacyjny. Zwierkowski i Czaykowski nie znali się. Zwierkowski bywał jednak częstym gościem Wereszczyńskiego i za pośrednictwem jego zapewne dowiedział się o celach i zadaniach, jakie miał przed sobą Czaykowski. W tym czasie nastąpiło powrót Zwierkowskiego. Pewnego dnia przybył do Czaykowskiego i oświadczył mu, że na przyszłość nie będzie działał przeciwko ks. Adamowi Czartoryskiemu, gdyż przyszedł do przekonania, że działać by musiał wbrew interesom polskim. Od tej chwili stał się on przyjacielem i współpracownikiem Czaykowskiego, z jego ramienia i polecenia jeździł do

Serbii i na Kaukaz w rozmaitych misjach, a nareszcie, wróciwszy do Paryża, został pośrednikiem między ks. Adamem a Czaykowskim.

Przybywszy do Carogrodu, Czaykowski nawiązał natychmiast stosunki z ambasadorem francuskim, hr. de Pontois, i z Ant. Alléon, jednym z pierwszych bankierów w Konstantynopolu, który cieszył się łaskawymi względami Sułtana Abdul Medżyda i Turków wogóle, a wkrótce stał się przyjacielem i powiernikiem Czaykowskiego. Niezapomniał także o misji katolickiej. Skutkiem tego było zbliżenie się do przeora Lazarystów, które mu się przydało później, gdy mu przyszła myśl, wykonana wkrótce, założenia w Turcyi kolonii polskiej.

Łatwość towarzyska, ogląda salonowa, doskonała znajomość języka francuskiego, a przytem pewna zręczność dyplomatyczna, ułatwiały mu ogromnie nawiązywanie stosunków. Dzięki tym przymiotom, które nie zawsze względem braci emigrantów stosowane bywały, wszedł on w koła polityczne tureckich mężów stanu, mianowicie z Hozrew-paszą, słynnym ze skasowania Janczarów, z Achmed-paszą, jakoteż z Mechmedali, siostrzeńcami Sułtana i z Riza-paszą.

Przygotowawszy sobie w ten sposób teren działania przystąpił do nawiązania stosunków z Serbią, Rumunią i Bułgarią. Tu, jak się zdaje, główną cechą jego działalności była propaganda w celu zniweczenia wpływów rosyjskich i przywiązania tych narodowości do Turcyi, zawsze z myślą, ażeby Portę wzmocnić niejako wewnątrz i uczynić ją odporniejszą na politykę Rosyi. Co z tego dla sprawy Słowian południowych, a tembardziej dla interesów polskich wynikać mogło dobrego — trudno nam dziś, z dzisiejszego stanowiska ocenić. To tylko nie ulega wątpliwości, że polityka kompromisów i ustępstw dla Turcyi ze strony Słowian nie miała przed sobą przyszłości, gdyż na tej drodze nic Słowianie nie zdobyli. Interesa polskie także mały pożytek odniosły.

Rdzeń rzeczy w innej była stronie — dojrzał to Czaykowski i w swoim czasie potrafił wyzyskać, o ile tylko okoliczności pozwoliły na to.

Niezależnie od rozmaitych drobnych narodowości słowiańskich, u podnóża Bałkanów rozsiadłych, Turcyja posiadała jeszcze w swoich granicach żywioły słowiańskie napływowo

inowszej formacyi: były to resztki rozbitej i rozprószonej szlachty, które w hulaszczem, nieczynnem i próżniaczem życiu dożywały smutnego końca. Siedliskiem tych niespożytych, niezdatnych do regularnego państwowego życia elementów, łatwych do samowoli i wybuchów w każdej chwili, nieświadomych żadnych celów i zadań cywilizacyjnych, była wielka nizina ujścia Dunajowego — Dobrużda. Kraj bogaty, żyzny, obfity w rybę i zwierzynę, w łąki, pola i lasy, dawał życie łatwe przy małej pracy. Otóż w takich warunkach osiedliła się tutaj kolonia kozaków, która, włócząc się w podniebnych stepach nad morzem Azowskiem i Czarnem, w niegodzie z prawem i państwem, osiadła nareszcie w Dobrużdy. Sułtan żądał od nich tylko pewnej ilości żołnierza konnego w razie potrzeby. Od wodza swego Nekrasy, nazywano ich Nekrasowcami, dla odróżnienia od innych kozaków. Służywali im Turcy, bili się pod chorągwią Mahometa — nie licząc się bynajmniej z tem z kim się biją, bo walka, rabunek, mord odpowiadały ich dzikiemu charakterowi.

Na tej samej Dobrużdy były także osady kozaków zaporoskich. Z małej grupy Zaporozców, którzy po ostatecznem rozbięciu Szczyty, schronili się do Turcyi, wszyscy prawie dawno wymarli, a ci, którzy przyjęli ich nazwę, tradycję i obyczaje, należeli już nie do regularnych żołnierzy, lecz do oczajduszów całej Ukrainy, Pobereża i Podola, chroniących się tutaj przed pracą lub od prześladowania prawa. I ci mieli służyć Sułtanowi. Służyli, ale dopóki nie było okazji do wypowiedzenia służby. Taka okazja nadarzała się często — przy każdej wojnie Rosyi z Turcyą. Przechodzili oni wówczas większemi lub mniejszemi partjami na stronę Rosyi, gdzie dowódcy zostawali pułkownikami, a rozpijaczone kozactwo, o ile okazało się niezdolnem do służby wojskowej, wracało do pługa i roli. Znaczna część jednak takich oczajduszów, wolała próżniactwo i pijackie życie w Turcyi niż obietniki w Rosyi, zostawała w Dobrużdy, piła i hulała dalej. Na tem nie koniec. Zaporozcy i Nekrasowcy, gdy nie było z kim walczyć, bili się i mordowali się między sobą. Ażby położyć koniec temu wzajemnemu mordowaniu się, kozacy Nekrasowcy wysiedlili się z Dobrużdy i rozkolonizowali się nad Marycą, w pobliżu Enos. Po wojnie 1828—1829 emigrowali ostatecznie do Bitynii nad brzegi jeziora Manias.

Na Dobrudży pozostali tylko Zaporozcy, zarówno resztki, które po bitwie Połtawskiej, schroniły się do Turcyi z Mazepą i Orlikiem, a później tego ostatniego hetmanem uznali, jako też luźne niedobitki kozactwa z różnych czasów i najświeższa pańczyzniana kolonizacya. Siedzieli oni na brzegach Dunawca, gdzie własną Sicz założyli, a Porta uznała ich organizacyę, przywileje, udzieliła inwestytury Atamanowi, któremu nadała tytuł Mirimirana-paszy, wymagając od nich, tak samo jak od Nekrasowców, służby wojskowej w czasie wojny.

Ludność owa wsunięta klinem pośród Rumunów, Wołochów i Turków, wyznania wschodniego, nie zwracała wcale uwagi polskich polityków i wysłańców. Ani o tej ludności, ani o jej organizacyi nie miano pojęcia należytego. Czaykowski pierwszy zwrócił na nią uwagę i powziął zamiar zużytkowania dla interesów polskich. Wypadki wszakże, związane z ulubioną przez Czaykowskiego „idea słowiańską“, nastąpiły później; w swoim czasie wspomnimy o nich.

Po przyjeździe swoim na wschód, Czaykowski sam udał się na Dobrudżę, z kozaczyzną tam rozsiedloną poznał się, stosunki nawiązał i już może wówczas snuły mu się po głowie plany, które w dziesięć lat później dopiero uskutečnić zdołał.

W czasie krótkiego swego pobytu w Konstantynopolu zaszedł wypadek, który miał mieć doniosły wpływ na późniejsze życie prywatne Czaykowskiego: poznał on mianowicie pannę Ludwikę Śniadecką, córkę Jędrzeja Śniadeckiego. Przybyła ona do Konstantynopola z Odessy w jesieni r. 1841, wkrótce przed przyjazdem lub wkrótce po przyjeździe do Carogrodu późniejszego Sadyka-Paszy. Miała zamiar odszukania zwłok swego narzeczonego, który będąc w służbie rosyjskiej oficerem, wyruszył na wojnę turecką w roku 1829, i poległ przy szturmie Szumli. Nazywał się on Włodzimierz Korsakow. Była to kobieta wykształcona, w owe czasy należała do nielicznego grona bardzo postępowych przedstawielek płci pięknej, ale rozmarzona, sentymentalna, niezrównoważona umysłowo i moralnie. Wychowana w sferze rozbawionej i bawiącej się, zapalała gorącą miłością dla młodego oficera, a gdy go kula turecka zmiotła ze świata, zamknęła się w chorobliwej miłości dla umarłego. Stosunki rodzinne w takich warunkach poczęły być dla niej ciężarem, który znosiła tak długo

z długu żyli ojciec i stryj. Po śmierci ich uregulowała swoje materialne interesy i wyjechała na mieszkanie do Odessy, gdzie żyjąc wśród wykształconego wyższego towarzystwa rosyjskiego, nie opuszczała nigdy zamiaru przywiezienia do kraju popiołów w Korsakowa. Życie towarzyskie unosiło ją wszakże i od zamiaru odrywało. Trwało to przez lat 12. W r. 1841 zamierzała i, czując się bliską śmierci, postanowiła po śmierci przynajmniej zadość swej woli uczynić. Jakie miała plany, jakie myśli i uczucia owładnęły ją — o tem pisać nie będę, gdyż do rzeczy nie należą. Plany te i uczucia wyraziła w testamentie. Przeznaczenie jednak chciało, ażeby i w tym wypadku nie stało się zadość jej życzeniu, bo wyzdrowiała. Rozważając to jednak za wskazówkę z nieba, że Bóg pozwolił jej żyć, ażeby zamiary swoje spełnić mogła, wyjechała istocie do Konstantynopola. Tu, zanim się dostała do grobu kościelnego, spotkała na drodze swojej Michała Czaykowskiego — plany znowu się rozwiały.

Stosunek nawiązał się bardzo rychło i bardzo serdecznie. Czaykowski w podróży swoich wracał do Carogrodu i znowu wracał. Prawdopodobnie w ówczesnym czasie powziął zamiar stale zamieszkać w Konstantynopolu, chodziło mu tylko o ustalenie swojej pozycji dyplomatycznej na Wschodzie. Ażeby tę zagadkę rozwiązać, musiał się widzieć z ks. Adamem, zdać mu relację z czynności swoich osobiście i na opuszczone stanowisko wrócić. Motywował to potrzebą odwiedzenia rodziny, pozostałej we Francji.

Czartoryski był bardzo z jego raportów zadowolony. Ucieszyłem się niezmiernie, kochany Czayko, żeś zdrowy, chociaż znużony, i że ci się nic złego nie stało. Przez wiele trudów, a nawet niebezpieczeństw przechodziłeś. Na to się nie puszcza bez żadnego osobistego widoku, tylko kiedy go prowadzi miłość ojczyzny, obowiązki i wzniosłe poświęcenie. Będziesz miał pociechę przez użytek różnego rodzaju, który z tego trudu wyniknie, a pożytek pewny będzie przez dokładne poznanie tych krajów, zaprowadzenie stosunków, przez możliwość osadzenia naszych⁴. (List. Czartoryskiego d. 27 czerwca 1842 r.)

Prośbę o powrót ponawiał kilkakrotnie, a w połowie lipca już wsiadł na okręt, z tym zamiarem i chęcią, że wrócić trzeba. Myśl tę podsuwał także ks. Adamowi. „Czujesz

i przekonany jesteś — odpowiada mu książę — że w październiku ktoś powinien być znowu na miejscu w Stambule, aby rzeczy rozpoczęte w niwecz nie poszły, aby podjęte starania i koszta nie były potrącone. Nikt lepiej, kochany Czayko, nie poprowadzi i nie utrzyma rozpoczętych rzeczy jak ten, który je zaczął pomyślnie, który już zna ludzi, kraj zwiedził, związki utworzył. Mojem zdaniem *trzeba żebyś wrócił i był przez jakiś czas ciągłym agentem w Stambule*“ (List ks. Adama z d. 17 lipca 1842 r.).

Niczego innego też Czaykowski nie życzył sobie. Powrót do Stambułu odpowiadał jego osobistym intencjom i widokom politycznym. Chodziło o to, ażeby ks. Adam uznał potrzebę tego i dał swoje przyzwolenie. Tak się też i stało.

Ks. Adam nie życzył sobie wszakże przyjazdu Czaykowskiego do Paryża, ażeby zjawienie się jego nie wywołało nowych baśni, obmów, domysłów. W celu zmniejszenia zarówno kosztów jak i uniknięcia możności rozbudzenia nieprzychylnego stronnictwu Czaykowskiego emigracji, książę radził, ażeby Czaykowski zatrzymał się na Malcie, a stamtąd napisał dokąd na dzień naznaczony sprowadzić życzyłby żonę i dzieci. Czarторыcki proponował Lyon, Avignon lub Marsylię. Marsylia wydawała mu się mniej stosowną z tego względu, że tam zamieszkiwało dużo Polaków, którzy Czaykowskiego znali, a książę rad byłby przyjazd jego w tajemnicy zatrzymać. Już wówczas była mowa o tem czy Czaykowski ma zabrać żonę do Stambułu. Pani życzyła sobie tego — mąż niezbyt. Tłumaczył to rozmaitemi trudnościami, ale o najważniejszej przyczynie milczał. Chodziło o to, ażeby ją w nadziei wyjazdu do Konstantynopola utrzymać. W tym sensie też ks. Adam, nie wtajemniczony w stosunek, nawiązany ze Śniadecką, doradzał. Na razie chodziło księciu najwięcej o to, ażeby bodaj przyczynę przyjazdu Czaykowskiego ukryć — a potrzeba zabrania żony, na co w ostatecznym razie decydował się dostarczyć funduszu, miała być parawanem. Sama, bez męża nie mogłaby się puszczać w daleką drogę, przez morze, to wystarczało dla ciekawych. „Pan Zamoyski, Woronicz lub Bystrzonowski pojechać będą mogli gdzie będziesz we Francji — pisze dalej książę do Czaykowskiego — ażeby wiaść wszystkie raporta, które chcesz przywieść i tysiączne słowne dodatki i objaśnienia o rzeczach i osobach. To się będzie mogło

żyć skoro napiszesz gdzie i kiedy na żonę oczekiwać będziesz. Jeśli wyśiądziesz w Marsylii, zaraz staraj się tam o paszport nazad do Turcji; oświadczysz żeś tylko przybył po nią i dzieci“.

Raporta zamknięto w hotelu Lambert, a Czaykowski usłuchał rad protektora — i przyjechał do Paryża. O zabiciu do Konstantynopola żony nie mogło być mowy, gdyż w ciągu ośmiomiesięcznego pobytu Czaykowskiego w Francji trzymywał on ciągłą korespondencję ze Śniadecką i nie żonie tylko o Śniadeckiej myślał. Po wyjeździe utrzymywał jednakże korespondencję z żoną i dziećmi, które zostały w Paryżu pod opieką ks. Adama Czartoryskiego. Korespondencja trwała aż do chwili przyjęcia islamu.

Tak więc Czaykowski wrócił sam na wschód i tam spędził czas aż do wojny krymskiej na nawiązywaniu i utrzymywaniu stosunków politycznych i trzeba przyznać, że w kołach dyplomatycznych tureckich a nawet francuskich wyrobił sobie bardzo poważne stanowisko. Epoka ta z jego życia prawie zupełnie nieznaną, gdyż szczegóły do jego działalności kryją się w archiwum Czartoryskich w Paryżu, dotychczasowym „dla bardzo małej liczby badaczy“ — zapewne tych, którzy się wojną krymską i przygotowaniem do niej nie zajmują.

Do czasu węgierskiej wojny o istnieniu Czaykowskiego wiedzieli tylko polscy czytelnicy. W walce Węgrów z Austriakami udziału żadnego nie brał. Dopiero po wojnie na polu wojny wystąpił.

Gdy pod koniec kampanii węgierskiej legion polski, będący pod rozkazami hr. Wład. Zamoyskiego, przekroczył turecką granicę i schronił się do Widynia, Czaykowski, posiadający już wówczas wpływy w Konstantynopolu, wyrobił u rządu tureckiego, że żołnierze uznani zostali za stronę wojującą, a hr. Zamoyski za ich dowódcę. W ten sposób udzielono im niejako opieki państwowej. Rosya i Austria żądały naturalnie wydania ich; inne mocarstwa nie mogły dość silnie protestować. Wówczas w obronie zagrożonych wystąpił Czaykowski. Zredagował on memoriał do sułtana Abdul Medżida własnoręcznie i w ten sposób sprawa stała przed Radą ministrów. Część głosowała za wydaniem ich, inni bardzo ostrożnie za odrzuceniem żądania Rosyi i Austrii, a niektórzy

rzy usunęli się zupełnie od narady. Sułtan wyraził chęć za-
siągnięcia informacji Ulemów i powołania ich w tym celu do
Rady ministrów. Czaykowski, dowiedziawszy się o tem, udał
się do Szeika-ul-Islama, jakoteż do innych, ażeby im przed-
stawić całą sprawę i prosić o poparcie memoriału. Ule-
mowie w pełnej radzie oświadczyli się przeciwko wydaniu
zbiegłych, dodając, że lepiej raczej należy przyjąć wojnę niż
gwałcić prawa gościnności tureckiej. Zanim jeszcze decyzya
Sułtana wiadomą się stała, Zià-Pasza zawiadomił z Widynia,
że Bem i niektórzy oficerowie polscy i węgiersey przeszli na
muzułmanizm. To ułatwiło poniekąd zadanie Turcyi: jedni
więc zostali zasłonięci prawem gościnności, inni prawem oby-
watelstwa tureckiego, połączonego z przyjęciem wyznania
Proroka. Tak więc żądaniu Rosyi, ażeby jedni zostali inter-
nowani, drudzy wysłani do Ameryki, nie stało się zadość.

Interwencya Czaykowskiego pomyślnie zakończona i usta-
wiczne jego porozumiewania się ze Słowianami, zwróciły na
niego uwagę poselstwa i rządu rosyjskiego. Uważając go przeto
za szkodliwego dla utrzymania dobrych stosunków z Rosyą,
żądano wydalenia z granic Turcyi, a względnie odwołania go
do Francyi. Abdul-Medżid miał odpowiedzieć, że nie widzi
do tego dostatecznego motywu tembardziej, że Czaykowski
jest pod opieką rządu francuskiego. Na tem jednak nie ogra-
niczyły się nalegania Rosyi. Stosunki z dyplomatami ture-
ckimi przydały się Czaykowskiemu, gdyż zdołał on u Mech-
med-Alego, ówczesnego Seraskiera, wyrobić przyjęcie wielu
oficerów do armii tureckiej; wówczas to wstąpili do służby
tureckiej Żółtowski, Toczyński, Jordanowie i w. in.

Rząd rosyjski podejrzliwem okiem patrzył na działal-
ność Czaykowskiego, a nie mogąc nic począć wobec Porty,
która zasłaniała się protegowaniem jego przez Francję, skie-
rował w tamtą stronę swoją akcyę. Udało się to o tyle, że
Prezydent Rpltej francuskiej, na osobiste żądanie Mikołaja I,
zdecydował się cofnąć protekcyę. Zawiadomiono o tem gene-
rała Aupick, ambasadora francuskiego w Konstantynopolu.
Rosya, jak się zdaje, nalegała na wydanie Czaykowskiego
lub przynajmniej usunięcie go od czynności. Nadeszły także
wiadomości z Paryża, że ani ks. Adam, ani hr. Zamoyski nie
poczynili żadnych kroków w celu zniesienia tej decyzyi. Wobec
tego Czaykowski znalazł się bez obrony i bez przyszłości.

leżało chyba zerwać związki i te stosunki, jakie już sobie wybił na Wschodzie i prawie rozpoczynać życie na nowo. Wlokła się ta sprawa do r. 1851. Do tej chwili Czaykowski szukał wyjścia z niepewnego położenia. Tu przydały mu się stosunki osobiste. Za pośrednictwem nauczyciela dzieci sułtańskich i Reszyda-Paszy udało mu się sprawę swoją przedstawić Sułtanowi prywatnie. Poradzono mu, w celu uniknięcia raz na zawsze niepokojenia z różnych stron i ustalenia tego bytu na przyszłość, przyjęcie Islamu. Sytuacji jego politycznej nie tylko nie zmieniało to w niczem, ale przeciwnie nadawało jej trwalszą podstawę, tembardziej, że zmiana religii nie była nie tylko zmianą narodowości, lecz mogła przysłużyć się do tem łatwiejszego służenia interesom narodowym polskim. Był to krok dobrze obliczony pod względem materyalnym, chwila wyczekana i wybrana dobrze, ale najmniej nie zdrada i nie odstępstwo. Można go było do celów politycznych pokryć — i Czaykowski bardzo chętnie to uczynił.

Od tej chwili przyjął on tytuł Sadyk-effendi i, ażeby nie dać powodu podejrzewania go o materyalną stronę, uchylił się na razie od przyjęcia urzędu tureckiego, zadowolniając się tytułem „effendi“.

Zmiana religii zrobiła na emigracji najgorsze wrażenie, szczególnie w sferach arcy-katolickich. Przedewszystkiem chodziło o duszę człowieka, która niezawodnie będzie prażyć się w smole i piec na ogniu; następnie, poza zbawieniem duszy była jeszcze sprawa inna: kolonia i ajencya polska w Stambule otrzymywały od rządu tureckiego zapomogę, obawiano się przeto, że Abdul-Medzid cofnąć ją zechce. Nie cofnięto jednak — zmniejszono tylko. Na czele agencji stanął Kosiński, późniejszy Sefer-Pasza, a Czaykowski, na żądanie rządu tureckiego, objął coś w rodzaju naczelnego kierownika i kontroli. Druga część funduszu zapomogowego użyta została na podtrzymanie agencji w Bukareszcie i Belgradzie.

Czaykowski usunął się także od zarządu kolonii polskiej, założonej za jego pośrednictwem, a przy pomocy ks. Adama w Adampolu; kierownictwo powierzone zostało Michałowskiemu, a administrację finansową objął Antoni Alléon, który też rozporządzał funduszem rządowym zapomogowym. Wszakże ks. Adam i pan Wład. Zamoyski niezado-

Sadyk
effendi

Seferpasa

woleni byli ze zmiany religii Czaykowskiego, nie zerwali z nim wszakże stosunków, ani też Sadyk-effendi nie był na tyle lekkomyślnym, ażeby je zrywać. Wzajemnie byli sobie potrzebni. Sadyk utrzymywał dalszą korespondencję z ks. Adamem, ze Zwierkowskim (Lenoir'em), z Gradowiczem, radcą konsulatu francuskiego w Bukareszcie, z Garaszaninem, z Abrahamem Petronowiczem, z Żukowskim, niegdyś dyrektorem kolonii polskiej w Adampolu, który miał siedzibę w Tulczy i zdawał sprawę z tego co się dzieje na Dobrudży, z Michalowskim i w. in.

Niewiadomo jak poszłyby rzeczy dalej, ale wogóle szły źle. Obwiniano o to powszechnie hr. Wład. Zamoyskiego a niestety, nie jesteśmy w możności sprawdzić tego, gdyż osobiste udawanie się piszącego do syna Władysława Zamoyskiego nie przyniosło żadnych rezultatów. Współcześni obwiniali go o ducha intryganckiego, o chęć wysuwania się na przód zawsze i wszędzie, o dwulicowość w stosunkach, o niedowierzanie bezzasadne, o chęć mieszania się do wszystkiego, o ambitne zachcianki wywyższenia się i przewodzenia. O te wszystkie wady generała Zamoyskiego miały być powodem rozbicia się agencji wschodniej. Mieszanie się to w wszystkie sprawy emigracyjne Wład. Zamoyskiego zapewne miało źródło w zezwoleniu ks. Adama, gdyż inaczej nie byłoby uzasadnionej podstawy. Tak czy inaczej, dość że Zamoyski nawiązał korespondencję z Saih-effendi, dawnym drogomanem Sadyka, z braćmi Jordanami, z Kościelskim, na którym pragnął rozciągnąć rodzaj kontroli. Podejrzywał o Kościelskiego o to, że nie stał na stanowisku ajenta ks. Adama, a Sadyka że działał arbitralnie i zasłaniał się jego posługiwał się imieniem ks. Czartoryskiego wówczas dopiero gdy tego potrzebę uznawał.

Nie wiem ile w tem wszystkim było prawdy, to tylko jest rzeczą pewną, że zachowanie się Zamoyskiego, ile raz on rękę do sprawy publicznej przykładał, wywoływało niezadowolenie, niezaufanie i intrygi. Czyją to było winą — trudno orzec dziś jeszcze, zwłaszcza że wszystko niemal o wojny wschodniej dotyczy, pozostaje w tajemnicy. Wmieszanie się Zamoyskiego wywołało rozbicie się agencji polskiej.

Tak rzeczy stały na początku drugiej połowy naszego wieku, gdy zaszedł wypadek znamienity, mogący mieć d

Wielkie znaczenie dla interesów polskich: w r. 1853 ogłoszona została wojna przez Francję, Anglię, Sycylię i Turcję. Wypadek ten wysunął na pierwszorzędne stanowisko Kossakowskiego.

IV.

Gdy nastąpiło wypowiedzenie wojny, ks. Adam napisał do Sadyka list bardzo serdeczny, ale niewyraźny i nie stawiający, z którego można było tylko wyrozumieć, że chwila nadaje się do akcji politycznej. Odezwał się także hr. Mikołaj Zamoyski, wyznając swoje winy i życząc sobie odwrotu dawnych przyjaznych stosunków wobec zbliżających się wypadków, mogących mieć wielką doniosłość. Była to sprawa odnowienia zerwanych stosunków, szukanie drogi do pojednania się. Wszyscy czuli, że coś zrobić trzeba i można, ale pierwszym pozycyją był tylko Sadyk, znający teren, stosunki i zdobywający coraz większe poważanie w sferach rządzących.

Porta powołała go do Rady ministrów dla zasięgnięcia rady — jak prowadzić wojnę? Sadyk radził obroną nad granicami, do chwili przybycia sprzymierzonych, a zaczepną wojną w Azji Mniejszej, gdzie według jego zdania należało zachęcać do wojny Czerkiesów w imię religii. Proponował także powołać do wojska oficerów cudzoziemskich, znających języki tureckie; tacy oficerowie byli tylko wśród Polaków. Polecał mu porozumieć się w tej sprawie z ks. Adamem Czartoryskim. Tak więc podwaliny do nowego stosunku były założone. Sadyk proponował generała Chrzanowskiego, pułkownika Różyckiego i hr. Wład. Zamoyskiego z tem, ażeby wszyscy oni weszli do sztabu jeneralnego w stopniu generała. Później dopiero należało przystąpić do angażowania wojsk.

Tymczasem zaszedł wypadek, który mógł daleko przeobrazić ulubioną przez ks. Adama akcyję dyplomatyczną. W czasie tych pertraktacyj przybyło do Konstantynopola poselstwo od Rusinów, z Besarabii i Ukrainy dwóch posłańców, proponując użycie do walki kozaków Dobruckich i wyznaczenie osoby zaufanej, któraby się mogła porozumieć z nimi i omyśleć plan wkroczenia na Ukrainę. Oryginał me-

moryału w tej sprawie wręczony został Reszyd-Paszy, a kopie przesłana ks. Adamowi. Czartoryski przeląkł się tego, polecił Sadykowi największą ostrożność, ażeby się nie rzucać w atak treprzę ryzykowną, nie gwarantowaną wcale przez mocarstwa, któraby przeto mogła przynieść wielkie szkody interesom państwowym. Wład. Zamoyski, jako finansista, radził spojrzeć na sprawę ze strony — funduszków.

Myśl, podniesiona przez wysłańców Ukrainy, zdaje się przypadła do gustu Sadykowi i znalazła także obrońcę w gen. Chrzanowskim. Mimo to wszystko na wschód przyjechać nie chciał. „Napiszę do Czaykowskiego — mówił Zwierkowski mu — że z Zamoyskim niema rady, bo jak go z wojskiem przyprowadzi nad Dniestr i pokaże bród, którym się przechodzili na polską ziemię, to on powie, że tędy nie chce, tylko drogą na Chiny, bo ta dłuższa, więcej przyniesie zysków żelaznego funduszu; żałuję Czaykowskiego, niech z nim zerwie a wtenczas każdy, którego zawezwie pojedzie, i będzie można coś dobrego zrobić, ale z Zamoyskim — nigdy, nigdy!” Krol Różycki, opętany towianizmem, także przyjechać nie chciał. Wogóle w stronnictwie katolickiem wytworzyła się silna opinia o konieczności zycia do działania w związku z Turcyą. Niektórzy, między innymi Zwierkowski, doradzali Sadykowi zerwać z ks. Adamem i działać na własną rękę. Czaykowski nie poszedł jednak za tę radą; zanadto był politykiem, aby się zgodził na oderwanie się od ks. Adama. Wolał pozostawić wszystko czasom i nie bardzo się na tem zawiódł. Poglądy na udział Polaków w wojnie wschodniej powoli ulegały modyfikacyom, w miarę tego jak się rozjaśniał horyzont polityczny dla interesów państwa. Zmiana ta wyraziła się w ten sposób, że emigracja zachodnio-europejska, a osobliwie francuska poczęła się skłaniać do wzięcia udziału w wojnie, chociażby dlatego, ażeby wyjść z bezczynności. Nie czekając tedy na decyzje ks. Adama, Sadyk umieścił wielu Polaków w armii tureckiej — Jordanów, Zarzyckiego, Jagmina, Przyjałkowskiego i w. in. Wkrótce przybyli z Paryża gen. Wysocki, Bystrzonowski, pułk. Breański, Perkowski. Przyjęci do służby tureckiej, Polacy zmienili swoje zwykłe imiona na straszne lub groźne. Bystrzonowski nazwał się Arslan-Pasza (lew), Breański Sałim-Pasza (sokół), Paczek Hderim-beg (piorun), Perkowski

Arslan-pasza

Salim-pasza

Hderim-beg

a-bej (forteca). Znany i dawny sposób ludzi próżnych uży-
ty do pokrywania nicości wewnętrznej.

W tym właśnie czasie Czaykowski powziął zamiar for-
mowania kozaków otomańskich. W memoryale, złożonym na
Reszyda-Paszy, przypominał on, że Turcyja uważała za
kozaków zaporoskich jako armię regularną, świadczą-
cą o najlepiej firmany sułtańskie i opieka udzielona rozbi-
ta zaporoskim; że Porta ma prawo powołać pod broń tych,
którzy nie wrócili do Rosyi w r. 1828; że bardzo łatwo mo-
głoby uformować pułk modelowy konny, złożony z Po-
low i różnych Słowian, którzy się wpiszą do kozaków.
Wskazywając do tego sześć sotni kozaków kubańskich i Nekrasy,
na uformować korpus kawaleryi, zdolny do oddania du-
żych usług w czasie wojny i mogący wpływać na mieszkań-
ców Wołynia, Ukrainy i Podola. Byłyby to kadry na wszelki
wypadek gotowe.

Memoryał ten był przychylnie przyjęty przez Reszyd-
kę, Sadyk otrzymał tytuł Mirimirana-Paszy i polecenie for-
mowania pułku mieszanego ze Słowian, w którym komenda
miała się odbywać w języku słowiańskim, zbliżonym do pol-
skiego i rusińskiego. Trudno było wprawdzie wybrnąć z tej
wymagania filologicznej, ale pono nowy Pasza najmniej się tem
zajmował. Na razie formacya takiego pułku odpowiadała
wielu marzeniom politycznym o podniesieniu idei słowiańskiej
i łączeniu jej z interesami Polski. Sadyk wystąpił na pier-
wszy plan jako człowiek czynu i stał się niejako centrum
około którego mogli grupować się ci, którzy walczyć chcieli.
Wzrostła on akcyę gorączkową, energiczną a tą dzielnością
i odwagą imponował innym i pociągał ich za sobą. Zachęcał
i podniecał do zaciągania się do nowo-formującego się pułku
i wyrobił u Porty polecenie do ambasadora tureckiego w Pa-
ryżu do zwracania kosztów tym, którzyby okazali chęć udania
się na Wschód. Do ks. Adama osobiście zgłaszał się i za po-
średnictwem Zwierkowskiego, prosząc o rychłe wysyłanie żoł-
nierzy do nowego pułku. Czartoryski zmienił trochę swój
plan na ten „sojusz“ z Turcyją i czynnie przykładał do
tego rękę. Im więcej zastanawiał się nad tą niespodziewaną
rozpraszającą rozproszonych sił nad Dunajem, tem więcej przy-
znawał jej znaczenia i doniosłości.

Najczynniejszym i także niewątpliwie był sam Sadyk-

Pasza. Pisząc w tej sprawie do pierwszego dragomana ambasady francuskiej, że byłoby dobrze, ażeby cesarz Napoleon III dał broń nowym żołnierzom, przedstawił mu widok na przyszłość. List widocznie został Napoleonowi zakomunikowany, gdyż wkrótce rząd francuski nadesłał broń na tysiąc kawalerzystów, jako dar Francji dla kozaków. Sotnia poczęły się szybko tworzyć pod rozkazami oficerów i podoficerów Polaków. Skład kadrów był bardzo różnorodny: wszystkie narodowości tureckich Słowian były tam reprezentowane — najmniej może było Polaków. Nie umiano ocenić doniosłości i celu tej formacji. Pułk otrzymał dawny sztandar Zaporozjczyków, przechowywany u Patriarchy, a gubernator Adryonopola, Mechet-Kibrizli pasza odebrał od nich przysięgę wierności na Ewangelii w obecności księży katolickiego i greckiego-wschodniego. Późem pułk wystąpił do Bułgarii, udając się pod rozkazy naczelnego wodza Omer paszy.

Cała ta organizacja dobrze pomyślana i wykonana nie miała wodza. Czaykowskiemu, poniekąd słusznie, zarzucano brak wykształcenia wojskowego i brak zdolności. Był to człowiek, posiadający niezawodnie dużo brawury wojskowej, rozumny, zręczny, dobry organizator, ale nie szczęśliwy człowiek. Nieszczęściem jego była wygórowana miłość własna wszędzie i zawsze pragnął on być na przedzie, nawet wówczas, gdy pragnienie swoje usuwał na drugi plan lub zaskrybał się bezinteresownością i pokorą. Wyższego koła siebie nie znosił nikogo — chyba niższych lub takich, którzy z nim razem szli jedną drogą. Chęć usunięcia kogoś lub zdepopularyzowania przerzucała go do intryg. Na drodze swojej spotykał człowieka o wiele mniej zdolnego od siebie, ale bodaj czy nie więcej jeszcze ambitnego: był to Władysław Zamojski. Rozpoczęła się tedy między nimi walka, która nawet po śmierci nie zakończyła się. Wład. Zamojski górował nad nim stosunkami, imieniem historycznym, koligacyami. I on także wszędzie chciał być na przedzie, wszędzie stanowisko pierwszorzędne zdobywał śmiało i nieraz zasłaniał sobą, bądź co bądź wybitną postać Sadyka-Paszy. Dwa bogi — nie mogli iść i pracować w jednym kierunku; schodzili się, ażeby się rozchodzić.

Przyczyną wielu niepowodzeń Sadyka-Paszy był także jego charakter nierówny, niespokojny, kapryśny; stał się

zbyt z ludźmi popularyzował albo ich zbyt wyniosłe trawał. Miewał też mało przyjaciół, a dużo bardzo wrogów. Niekażda grzeczność zarówno jak i szorstkość nie jednały mu sympatyj. Rozgoryczał więc wszystkich do siebie i sam się rozgoryczał. Stało się to właśnie niemal od początku owej wojny kozacko-polskiej, a w gruncie rzeczy niewiadomo jakiej, wojny. Ci, których dziś wynosił na stanowiska generałów i pułkowników, jutro stawali się zdecydowanymi jego nieprzyjaciółmi.

Mimo to wszystko do dzieła zabrał się z zapałem i odważnością; patrzył dalej i lepiej niż jego otoczenie; plany miał stanowcze i jasne, nieraz, powiedziałbym, zuważałem, ale nie posiadał wykonawców, a sam nie mógł wiele zrobić, bo był nie wodzem samodzielnym, lecz pionkiem na szachownicy wojny, posuwany obcą ręką. Może czuł, że jego nazwisko nieposiada dość popularności i uroku wojennego, i dla tego w chwilach fałszywej pokory, odzyskał się do Hotelu Lambert z propozycją, ażeby ks. Witolda mianować pułkownikiem kozaków, a nawet zgadzał się oddać wódzstwo Władysławowi Zamoyskiemu, jak tylko wojsko stanie nad Dniestrem.

Opuszczając Konstantynopol, Sadyk-Pasza zostawił Śniadeckiej, którą tytułował „moją żoną“, zupełne pełnomocnictwo polityczne, na co Reszyd-Pasza się zgodził. I w wyborze nie mylił się wcale. Plany, zamiary, nawet marzenia polityczne Sadyk-Paszy Śniadecka przyjęła za swoje i popierała je bardzo gorliwie. Z nią tedy przedewszystkiem zetknął się hr. Zamoyski, gdy do Konstantynopola przyjechał. Odebrała się bardzo nieprzychylnie o nim. „Miałam kilka rozmów bardzo długich z p. Zamoyskim, ale w nim tyle znalazłam nieszczerości i fałszywości, że niesądzę, abyś kiedykolwiek mógł na niego rachować; wyrozumiałam od p. Kalinki, że przyjechali tu raczej się targować jak wojować, że radzą naciskać Polakom w kraju, ażeby się nie brali do broni“. To było pierwsze wrażenie, może i niezupełnie słuszne. Pierwszy pobyt Zamoyskiego w Konstantynopolu usposobił ją do inaczej i wyrozumialej. Istotnie, o złe chęci trudno było Zamoyskiemu pomówić; on może i szczerze czekał zbliżenia się z Sadykiem, szukał miejsca dla siebie, a pycha i różnicę odpychały ich wzajemnie. Chcieli pracować w je-

dnym celu, w jednym interesie, na jednej drodze nawet i nie mogli. Zamoyski szukał tedy drogi własnej — siebie wyłącznie i z czasem ją znalazł.

Gdy tedy Śniadecka wiodła z nim długie rozmyślenia Sadyk-Pasza, po radzie wojennej w Konstantynopolu, otrzymał polecenie zająć Deli-Orman z kozakami regularnymi, regularnymi i oddziałem, dodanym do nich; zaopatrywać w żywność Silistryę i bronić kalafatu. Różne te operacye wojenne wchodziły w zakres talentu wojskowego Sadyka-Paszy były wojną podjazdową, partyzancką — wywiązywał się z niej i z tego zadania ku wielkiemu zadowoleniu zarówno Omera-Paszy jak i Anglików. Przekonywano się, że taka macya wojskowa istotnie zdolną jest oddać wielkie usługi tylko na dziś, lecz i na przyszłość. Zresztą Sadyk-Pasza wody swego sprytu wojskowego dawał niejednokrotnie. Otrzymał on polecenie obsadzenia wyspy Ramadan, z której uciekał się staremu marszałkowi Kiel-Hasanowi Paszy wypłoszyć dział rosyjski. Sadyk zajął wyspę, a wysławszy szpiega na drugą stronę Dunaju, dowiedział się, że wojska rosyjskie cofały się poczęły ku Besarabii. Domyślił się, że stać się mogło na skutek konwencji tajemnej z Austryą, która uznała za żębniało wycofanie wojska do Krymu. Doniósł o tem do Omera-Paszy, nadmieniając, że dobrze byłoby, korzystając z tego, uprzedzić Austryaków i zająć Bukareszt. Jakkolwiek opinia ta, uznana została w Konstantynopolu za słuszną i Omer-Pasza otrzymał rozkaz przekroczenia Dunaju, do zajęcia Bukaresztu nie przyszło jednak, gdyż mocarstwa europejskie obawiały się obrazić Austryę, i na tem się skończyło na razie.

Sadyk zajął posterunek obserwacyjny w Dżurdżewie i tutaj właśnie przybyli do obozu jego hr. Wł. Zamoyski i pułkownik Kirkor. Obaj rozumieli dobrze ważność i konieczność chwili i znaczenia organizacyi wojskowej — był to grunt do pojednania szczerego. Zamoyski z tym zamiarem przyjechał i okazywał chęć współdziałania z Sadykiem. W tym przytem list od Śniadeckiej zupełnie inny od tego, który otrzymała do niego niedawno. Może dostrzegła zmiany w Zamoyskim skutkiem długich z nim rozmów. Dość, że donosiła o postanowieniu generała służeńia wspólnie, gdyż doszedł jakoby do przekonania, że służąc i pracując każdy na

... rękę, będą tylko szkodzić jeden drugiemu. Pogląd był szny, ale, jak się okazało później, nie nowy. Śniadecka proponowała przeto Sadykowi wystarać się o formowanie drugiego pułku kozaków, a organizację jego polecić Zamoyskiemu. Czaykowski został, zdaje się, rozbrojony. Przedstawił go Omerowi-Paszy i prosił o pozwolenie formowania drugiego pułku kozaków. Naczelnny wódz zgodził się na to, ale — nie mieli wierzyć słowom Sadyka — pod warunkiem, ażeby nie był inny, tylko on właśnie dowództwo naczelne objął. Tymczasem w obozie I-go pułku powstały intrygi, skutkiem czego niewłocki usunął się, a Sadyk zaproponował na pułkownika Sadykora; Omer-Pasza propozycję tę przyjął. Zamoyski zaś nie czekał na decyzję w Ruszczuku.

Tymczasem agitowała się sprawa zajęcia Bukaresztu. Sadyk-Pasza otrzymał wprawdzie polecenie, ale usprawiedliwił je brakiem gotowości wojskowej, wyprawił więc przodem Sadykora-Paszę z kozakami, a sam zatrzymał się w pewnem odległości od Bukaresztu w zamiarze poparcia Sadyka, gdyby mu się zachodziła potrzeba. Wszystkie te ostrożności były zbyteczne, gdyż miasto nie było prawie bronione, i, jak się zdało, nie miało zamiaru. Było tam tylko dwa pułki rumuńskie pod rozkazami generała Denenberga i trochę Rumuńskiego żołnierza, na którego generał liczył, ażeby bez walki nie oddać miasta. Zbliżywszy się do Bukaresztu, Sadyk-Pasza wysłał kozaków kubańskich na przeszpiegi i patrole kozaków regularnych. Pokazało się, że w mieście znajduje się tylko szereg oficerów armii rumuńskiej, który razem z kajmakanem, zastępcą hospodara, prefektem policji i gromadką bojarów oświadczył mu gotowość poddania się, jako generałowi ich opiekunowi. Sadyk-Pasza zajął miasto, wyznaczył komendanta i zażądał od ks. Kantakuzena, że przywileje, nadane mu przez poprzednią władzę, ściśle zachowa. Bojarowie oświadczyli chęć, łącznie z ks. Kantakuzenem, dostarczyć Sadykowi żywności jak w mieście, pieniądze znajdujących się w kasach klasztornych, a armię rumuńską oddać do jego dyspozycji. Sadyk doniósł o tem Omerowi-Paszy, przedkładając mu doniosłość tej ostatniej propozycji, która umożliwiała zrobienie dywersji na rzecz armii rosyjskiej. Naczelnny wódz podziękował wprawdzie Sadykowi, ale odpowiedzi nie dał żadnej. Tak samo posłowie rumuńscy nieotrzymali odpowiedzi stanowczej. Serdar przy-

jął ich przyjaźnie, lecz załatwienie sprawy odłożył do przybycia do Bukaresztu.

W kilka dni później nadeszły wojska austriackie dowództwem generała Coroniniego i zajęły Bukareszt. Pasza ze swymi kozakami znajdował się wówczas w Skutkiem układów między Austryą i Turcyą, Bukareszt być zajęty łącznie przez obie armie. Lewy brzeg Dunaju od Dżurdżewa do Braiły, zajęła armia turecka, linia Seretu aż do granicy mołdawskiej miała być także zajęta przez Turków, z wyjątkiem Nadeni, które miało być siedzibą władz oddziałów obu armii; most na Serecie miał być strzeżony wspólnymi siłami; Gałac, Jassy, Fokszany i cała Prutu pozostały w ręku Austryaków. W ten sposób Austriacy byli prawdziwymi panami sytuacji, stróżami granicy ważnych punktów, tak że mogli w każdym czasie przesunąć Turków do Dunaju. Kto taki niefortunny plan opracował? Niewiadomo. Współcześni obwiniali o to hr. Zamojskiego i Rustem-beja (Wolskiego). Zdaje się wszakże, że te obwinienia trzeba patrzeć bardzo pobłażliwie i z niechęcią je przyjmować, zważywszy na zobopólną walkę emigranci prowadzili na wschodzie przedewszystkiem ze sobą.

Kiedy marszałek Dudon Achmed-pasza przybył do Braiły, z kilkoma tysiącami ludzi, Sadyk-Pasza otrzymał rozkaz opanowania linii Seretu na czele ośmiu sotni kozaków, sześciu dronów kawaleryi, trzech eskadronów kawaleryi pierwszego pułku, ośmiu batalionów redyfów, czterech baterii artylerji z dwoma jenerałami brygady, będącymi pod jego rozkazem. Czy skutkiem nieostrożności głównodowodzącego Omer-paszy, czy też zaufania do Sadyka-Paszy, dość że otrzymał polecenie działania prawie niezależnego, a szef jego miał z nim porozumiewać w sprawach i wypadkach wątpliwych. Serder upoważnił go zbliżyć się za pomocą różnych pułków do Prutu. Działo się to w myśl Sadyka-Paszy.

Zamojski posiadał już w Ruszczuku około 300 kozaków, zaangażowanych do 2-go pułku. Sadyk życzył przywrócić ich do swego wojska, gdyż posiadał zaledwie kilka Polaków. Mając wszakże zamiar przekroczenia Prutu i wejścia na terytoryum Besarabii, pragnął posiadać więcej kozaków, na których pewność mógłby bardziej liczyć niż na

Meraninę słowiańską. Zdawało mu się, że z tą garstką ludzi, mając za plecami armię turecką, i sympatyje Omera-Paszy i Napoleona III, zdoła przenieść wojnę w głąb Ukrainy. Wierzył się z planem swoim Zamoyskiemu; plan bardzo się podobał, Zamoyski nie szczędził rad, obiecał przysłać wolontariuszów — i nie przysłał. Tymczasem z Besarabii i Ukrainy nadchodziły, według informacji Sadyka-Paszy, wiadomości bardzo przychylne. Mieszkańcy mieli już tam jakoby oczekiwanie tylko przybycia Czaykowskiego. Sadyk zdał o tem raport Omerowi-Paszy i do Konstantynopola, dając informacje o ruchach wojsk rosyjskich w kierunku Krymu, o resztach pozostałych jeszcze w Besarabii. Oczekiwanie zakończyło się tem, że otrzymał rozkaz — nie przekraczania Prutu pod żadnym pozorem. Sadyk podejrzewał, że stało się to przy współudziale hr. Zamoyskiego, który miał wysłać Kalinkę do marszałka Achmed Dudona Paszy z ostrzeżeniem czuwania przed Sadykiem, gdyż przekroczenie Prutu mogłoby spaść na jego odpowiedzialność. W planach wojny na terenie Dunaju zaszły zmiany: Serdar-Ekrem otrzymał polecenie udania się z połową swego wojska do Krymu, reszta cofnęła się od Prutu i Seretu, w Bukareszcie pozostała tylko garstka wojska tureckiego. W ten sposób Mołdawia i Wołoszczyzna zostały poniekąd okupowane przez Austryaków. Zamoyski miał się usprawiedliwiać z nieprzysłania owych 300 zaciężnych dlatego, że plan wkroczenia na Ukrainę i Besarabię odłożono na wiosnę.

Nie będziemy zastanawiać się z punktu wojskowego nad jego wykonalnością i doniosłością, dość że przeszkodą do wykonania były nie tyle intrygi Zamoyskiego, ile niechęć zarówno skojarzonych mocarstw jak i Austrii; mogłoby to wywołać łatwe do zrozumienia komplikacje, wcale niepożądane i niepostawione na porządku dziennym.

Sadyk-Pasza został wysłany na Dobrudżę.

Formacja drugiego pułku postępowała dość szybko. W Szmuli było już zgromadzonych 500 ludzi i 300 koni. Żołnierze wszyscy prawie byli dezterterami z armii rosyjskiej, oficerowie byli wywieszczeni i z wojną obcy bądź w r. 1831, bądź w kampanii Węgierskiej i Włoskiej; za dużo tam tylko polemizowano, krytykowano wszystkich i próżnowano. Obaj ci ludzie — Zamoyski i Sadyk — niepozbawieni zdolności

i zastąg, różnili się nietylko charakterami, ale zasadniczymi poglądami na udział Polaków w wojnie wschodniej pod sztandarami Turcyi. Niewątpliwie, że Czaykowski miał na myśli interesy polskie, ale zbyt blisko widział je skojarzonymi z Turcyą i rolą, jaką odegrywał, była rolą generała tureckiego. Zamoyski stał na gruncie katolickim. „Jaki obowiązek mamy względem Turków — mówił Czaykowskiemu — są oni naszymi braćmi ani z rasy, ani z religii; byliśmy z nimi zawsze nieprzyjaciołmi, uczyliśmy się bić ich i nienawidzić, a teraz mamy się bić za nich?” Były to słowa i poglądy więcej księdza niż polityka. Chodziło mu o to tylko, aby Turków uzyskać pomoc materyalną w formacyi pułków, a o to można nieśłużyć interesom tureckim. Obydwa mieli cel, ale ścieżki, chociaż idąc razem, ciągle rozchodzili się w dwie przeciwne strony. Egoizm Czaykowskiego zaprowadził go do odstępstwa i sturczenia się, chociaż ciągle, z nałogu mógł powiedzieć, mówił i pisał o polskości; egoizm Zamoyskiego zaprowadził go do tytułu jenerała angielskiego i oddał białą wieńcem na żołąd Anglików.

Gdy ekspedycya za Prut nie udała się, Sadyk-Pasza wyjechał do Konstantynopola, gdzie zastał Śniadecką bardzo czynną, pełną nadziei i oddaną jego interesom. W miarę jak on tracił chęć do pracy, zrażony intrygami i brakiem sympatyi wśród Polaków, zdawiała się energia Śniadeckiej i chęć pokonania wszelkich trudności. W różowych nadziejach na przyszłość utrzymywała go ta okoliczność, że w Konstantynopolu został przyjęty nader życzliwie przez Reszypaszę i przez Seraskiera. Było to już po niepowodzeniu jakichś armii turecka doznała pod Karssem. Część wojska otoczona przez siły rosyjskie, zamknęła się w fortecy i w nadziei wydobycia się stamtąd. Paszowie i bejowie polscy o strasznych nazwiskach lwów i orłów, zdołali szczęśliwie przedostać się do Paryża. Sadyk-Pasza, zapytany co robić, aby Kars od zdobycia obronić, proponował dywersyę. Tyflis w ten sposób, aby część armii, wylądowawszy w Kars-dut-kale, weszła w głąb kraju i powołała do broni Czernogórow. Wojska rosyjskie musiałyby wówczas bronić Tyflis, a więc cofnąć się od Karsu.

Plan został przyjęty, a Sadyka na czele kawalerii

aczono do awangardy. Korzystając z tej propozycji, pro-
o pozwolenie uformowania trzeciego pułku kozaków, któ-
ch pragnął przebrać po czerkiesku. Plan ten nie został
zakże wykonany niewiadomo z jakich powodów — zdaje
wszakże dlatego, że po zdobyciu Sewastopola, Anglicy
eli zamiar przenieść wojnę z Kerczu do Anapy i wnętrza
ukazu. Na ekspedycję do Georgii były przeznaczone
jska tureckie, znajdujące się pod Sewastopolem i oddział ar-
i, konsystującej w Bułgarii. Sadyk otrzymał polecenie
ania się do Burgas, ażeby tam zgromadzić pułki kozackie
resztki, kawalerii przybyłej z Krymu. Marszałek Abdul
erim pasza, przeznaczony na tę wyprawę do Georgii, udał
ę do Warny dla zgromadzenia piechoty i magazynów, ja-
też do objęcia dowództwa. Między Sadyk-Paszą a Zamoys-
im antagonizm zaznaczał się coraz wyraźniej, chociaż oby-
wa trzymali się polityki działania zgodnego i świadczyli so-
e grzeczności. Do Konstantynopola przybywało mnóstwo Po-
ków w chęci zaciągnięcia się do kozaków, jedni dążyli do
amoyskiego i takich była większość, inni, w znacznie mniej-
ej ilości, stali po stronie Sadyka-Paszy. Przyczyną tych
warów gorszących stała się okoliczność, utrzymywana do
awnego czasu w tajemnicy, ale znana wszystkim: było to
zejście hr. Wł. Zamoyskiego z mającym się zorganizować
statecznie trzecim pułkiem kozaków na żołd angielski. Wer-
anek przez niego oficerów i żołnierzy, a także antagonizm
olityczny między dwoma wodzami, z których każdy chciał
yé pierwszym, szkodliwie oddziaływały także i na podko-
ndnych. Zamoyski zdołał wytargować od Anglików dla
bie tytuł generała z wysoką pensją, a dla oficerów swoich
yższy żołd. Na tę wędkę niejednen łatwowiernie dał się
apać. Anglikom nie szło ani o Zamoyskiego, ani o inte-
y polskie, lecz o zwiększanie wojska. Zamoyski dopomógł
b utworzenia zaciągów najemnych, dla których interesy pol-
ie były tylko płaszczykiem, pokrywającym sprawy Anglii
yłącznie.

W tej chwili właśnie zjechał był do obozu pod Bur-
as A. Mickiewicz. Miał on misję naukową na Wschodzie
zędową — poznania południowych Słowian, — a niezale-
nie od tego z polecenia ks. Adama miał rozpatrzeć się
stosunkach polskich. Przyjechał dobrze usposobiony dla

akcyi podjętej już przez Sadyka-Paszę, osobiście bardzo pochwalał i gorący udział sam w niej przyjął. Brał on łożenie rzeczy na wschodzie na seryo, wielką nadzieję w przyszłości przywiązywał do tego, a w organizacyi wojska Sadyka-Paszy upatrywał zawizek nader w rezultaty pomyślnego działania, a Zamoyskiemu miał otwarcie za złe to, że nie dążył do rozdzielenia sił, lecz do rozdzielenia sił dążył, że w żołnierzach ożybiał ducha narodowego a nawet wypaczał go, zaszczerpnął w ochotnikach gromadzonych dla 3-go pułku ideę materialnego zysku i polepszenie swego osobistego stanu. Sadyk-Paszę wysoko cenił, organizacyę jego chwalił bardzo, jako ducha ożywiającego żołnierzy i sam mówił, że w obozie obojętności się jak w Polsce. Rozpatrzywszy się w położeniu rzeczy miał odwagę ganić postępowanie Władysława Czartoryskiego niewyraźne i chwiejne, a Zamoyskiego szkodliwe i w tym celu do ks. Adama pisał. Przy pomocy młodego izraelity wy'ego, jakoteż towarzysza swojej podróży Henr. Służalski rozpoczął pertraktacye z Sadykiem-Paszą o utworzenie królestwa żydowskiej, gorąco zabrał się do dzieła i w tym trakcie umarł prawie na cholerę. Potrącam tylko o ten przedmiot, gdyż mam zamiar zastanowić się nad nim szerzej w innem miejscu.

A. Mickiewiczowi nie udało się przeszkodzić rozdzieleniu i pogodzić Sadyka-Paszę z Zamoyskim; były to żywioły jak ogień i woda nie do połączenia. Jeszcze w czasie bytu Mickiewicza pod Burgas, kiedy właśnie oczekiwano na rozkaz rozpoczęcia ekspedycyi do Georgii, nadszedł do Sadyka list od Zamoyskiego zwiastujący, że nawiązał stosunki z rządem angielskim, a jako dowód przychylności rządu przedłożył dla kozaków otomańskich cztery harmatki w darze od nich. Mickiewicz obecny czytaniu listu miał wykrzyknąć: „zdrada! Znam Zamoyskiego! Przysłał harmatki, żeby ostrzelać swą zdradę jak ostrzelał wprowadzenie do Galicyi Romarino i pięknieszego korpusu wojska polskiego“. Wkrótce nadeszła wiadomość od Śniadeckiej o formacyi dywizyi na żołdzie angielskim i przejście kozaków do służby angielskiej. Pułkownik Klemens Przewłocki, porozumiawszy się z Zamoyskim oświadczył w imieniu ochotników, zgromadzonych dla

pułku kozaków, że życzą sobie przyłączenia do armii angielskiej, Zamoyski deklarację tę wręczył lordowi Redcliffe. Tym samym kurierem nadeszła ekspedycja do marszałka Abdurrima paszy i Sadyka zgadzająca się na przejście kozaków przez żołąd angielski, jeżeli sobie życzą. Pierwszy pułk zaprotestował w obecności i Mickiewicza, oświadczając, że służą nie żołądowi, drugi wahał się — lecz wkrótce poszedł na służbę — do funtów sterlingów.

Zamoyski od tej chwili stanął na czele osobnego korpusu armii, jako generał i większy miał tytuł niż armię. Był ten korpus, wraz z licznym sztabem jeneralnym, liczył ledwie 2.000 żołnierzy, w liczbie których było przeszło tysiąc z drugiego pułku kozaków. Tworzyło to, razem wzięte: dwa pułki kawaleryi, cztery baterie artyleryi i kompanię oficerów pieszych. Anglicy dostarczyli uniformów, broni, kasa i pieniędzy.

W tym właśnie czasie w Konstantynopolu lord Redcliffe i poseł austriacki zaprotestowali przeciwko ekspedycji Sadyka-Paszy do Georgii, obawiając się, że mógłby przejść przez Prut, zająć linię Prutu, a porozumiewając się z Szamilem, rozpocząć nową wojnę, co bynajmniej pożądanem nie było. Sadyka-Paszę zastąpił generał Stein (Ferhad-pasza). Wyprawa ta przechodzi granice przedmiotu interesującego nas i dla tego mówić o niej nie będę.

W trakcie tych wszystkich wypadków przyszła wiadomość o zawarciu pokoju. Sotnie kubańskie i dobruckie wróciły do domu; pozostały tylko sotnie kozaków otomańskich regularnych. Niepowodzenia dyplomatyczne Sadyka-Paszy, porozumienia z tymi, którzy byli jego współpracownikami, bezustanne wzajemne intrygi i oczerniania zraziły go do dalszej pracy. Ustąpił jednak naleganiom Reszyda-Paszy i Śnialeckiej i pozostał nadal na czele utworzonego przez siebie oddziału. Porta wysłała Sadyka z kozakami na granicę Tessalii w celu strzeżenia granic od rozbójników i upoważniła go do sformowania trzech eskadronów dragonów. Czaykowski miał zamiar wcielić do tej organizacyi żołnierzy z rozwiązanej dywizyi Zamoyskiego, ale udało mu się zaledwie 250 zjednać, resztę trzeba było ściągnąć z Dobrudży. Część korpusu Zamoyskiego rozprószyła się, większa część udała się do dóbr ziemskich Reszyda-Paszy dla skolonizowania ich i tam na febrę

i inne choroby wymarła. Tak zmarnowało się wiele ludzi dzielnych bez pożytku i bez celu.

Sadyk-Pasza, pozostawszy nadal w służbie tureckiej, miał już przed sobą drogę wojskową otwartą. Wkrótce po wojnie wysłany został na Dobrudżę dla zrobienia mapy wysp Leti i św. Jerzego, które dostały się Turcyi na mocy traktatu pokojowego. Zbliżenie się ponowne z żywiołem kozackim rozbudziło energię Czaykowskiego, czynną zawsze w jednym kierunku: aby na widownię polityczną i dziejową wyprowadzić kozaków. Było to widmo, prześladujące go całe życie, gdyż fantazyja brała u niego górę nad rzeczywistością. Nie mógł zrozumieć, że kozacy, nie posiadający ducha państwowości, jak wszystkie niewykształcone cywilizacyjnie organizmy narodowe, zdolni byli być tylko narzędziem w cudzym ręku. Wysłał on stamtąd memoriał, przedstawiający korzyść z zasiedlenia ludnością z Besarabii wysp Leti, Sulimy i brzegów Dunawca, używając do tego resztki rozprószonych kozaków otomańskich. Miał na myśli pożytek, jaki z tego być może na wypadek przyszłej wojny. Propozycye te rząd turecki przyjął i stosowne irade wydał. Na przedstawienia jednak ambasadorów Francyi, Austryi i Anglii, Sadyk został odwołany do Konstantynopola, a irade miało być cofnięte. Sultana odwlekał jednak cofnięcie do czasu nieokreślonego, pomimo to, iż nie brakło doniesień, że Sadyk pragnie przy pomocy kozaków wywołać nową wojnę. Pomimo tego rodzaju plotek politycznych, Sadyk-Pasza nie tylko utrzymał się na swoim stanowisku, ale został mianowany jeszcze Beylerbeyem Rumelii.

Nie będę się tutaj rozpisywał nad rozmaitemi fakejami, działającymi mniej lub więcej zrećnie na terenie południowej Słowiańszczyzny, gdyż działalność ta należy raczej do wojny wschodniej i udziału w niej Polaków niż do życiorysu Czaykowskiego; jest bardziej częstką historii Turcyi drugiego pięciolecia XIX w. niż historią życia jednego człowieka. Pomimo wszelkich usiłowań i intryg Sadyk-Pasza na widowni dziejowej utrzymał się dzięki temu, że niewątpliwie działalności jego przyświecała wielka idea, rozumiana nie zawsze trafnie, ale szczerze. Pragnął on odegrać na tej widowni wielką rolę, do tego dążył, ale gwiazda niepowodzenia nie tylko nad jego głową świeciła. Gdyby nie zgorzkniał ostatecznie, gdyby zdołał utrzymać na wodzy ambicje polityczne, a przynajmniej

ównoważyć je warunkami rzeczywistości, gdyby się nie uno-
do zapomnienia o wszystkim, byłby niezawodnie lepszą
mieć zostawił o sobie. Dzięki wadom swego charakteru,
leżał on do rzędu ludzi nieszczęśliwych, którzy mniej byli
ymi niż pamięć pozostała o nich. Przywiązał się on do swego
ieła, do kozaków ottomańskich sprowadził synów, starał się
wet kształcić oficerów i żołnierzy, założywszy coś na po-
bieństwo regularnej szkoły wojskowej, któraby dostarczyła
brego materiału w razie potrzeby, ale wszystkie te usiło-
nia zwiędły jak kwiaty bez słońca.

Nastąpił rok 1863, który w wysokim stopniu zdepo-
laryzował imię Czaykowskiego wśród Polaków i wprowadził
zdźwięk między nim a jego podkomendnymi. W owym
asie Sadyk-Pasza począł przychylić się coraz bardziej do
ch, z którymi w zasadniczych poglądach rozszedł się, przy-
ępując do formacyi kozaków otomańskich. Mam tu na myśli
otel Lambert i jego przedstawicieli, Niewiadomo dokładnie
kie stanowisko on zajął wobec polityki Pana Markiza Wie-
polskiego, to jednak wiadomo dobrze, że hotel Lambert
ał zawsze na tym gruncie, że tylko drogą dyplomatycznych
kładów i działań da się coś zrobić dla interesów polskich.
a takiego opatrnościowego polityka, który miał pobić dy-
lomację rosyjską, uważał poniekąd Sadyk-Pasza pana Mar-
za i dlatego na jego postulaty polityczne godził się. Na rok
863 patrzył jak na awanturę, wywołaną przez „gorące
łowy“, a p. Zamoyskiemu z Warszawy miał za złe, że śmiał
taką polityką, jak p. Markiza nie godzić się. W tem tkwił
z zaród tych myśli, jakie rozwinęły się nieco później i skło-
ły Sadyka-Paszę do spróbowania na starość polityki p. Mar-
za. Ale o tem — potem. Rozdźwięk zaznaczył się przede-
wszystkiem między Sadykiem a kozakami otomańskimi. Wnie-
li oni petycję do ówczesnego Seraskiera, Fuad-Paszy, w któ-
ej wyrażając całą wdzięczność dla Turcyi, która ich przy-
arnęła, prosili o pozwolenie wycofania się z wojska. Turcyja
patrzyła na to przez palce. Pozwolono im brać dymisyę,
nawet obiecano dać zapomogę tym, którzyby życzyli sobie
Dunaju się zbliżyć. Życzenia jednak kozaków otomańskich
ły dalej, głównie z tego powodu, że zarówno Sadyk jak
pułkownik Kirkor, szczególnie ten ostatni, bardzo niewy-
zamiale na te wrzenia patrzyli. Powstała nawet myśl opu-

szczenia Sadyka i udania się gremialnie do Dunaju. Czaykowski miał trudne zadanie przed sobą; opuścić służby tureckiej nie mógł i nie chciał zapewne, ażeby całą przeszłość swoją na niepewne losy nie wystawiać. Urząd brał górę nad sumieniem. Nie trudno było przewidzieć tak samo jak inni przewidywali, że bez obcej interwencji walka między potężną Rosją, a nieuzbrojonym i niezorganizowanym narodem, zakończy się klęską Polaków; Sadyk-Pasza obawiał się tej klęski bardziej dla siebie niż dla narodu, bo był przedewszystkiem człowiekiem samolubnym i ambitnym. Dlatego też niezawodnie od współdziałania odsunął się. Nie mógł stać na czele, wolał przeto zupełnie usunąć się. W sprawę gorących walk w łonie kozaków otomańskich wtrącił się rząd turecki i ochłodził je w ten sposób, że część kozaków skierował do Monasteru, a drugą część wraz z dragonami i Sadykiem-Paszą powołał do Konstantynopola. Tu zetknął się Czaykowski z Tadeuszem Orzechowskim (baronem Oksza) który był nieznanym reprezentantem tajemnego rządu warszawskiego wobec Porty. Rzecz jest godna uwagi, że ile razy Sadyk-Pasza stykał się z kimkolwiek bądź ze strony Polaków, posiadającym bądź moralne bądź inne wybitne stanowisko, zawsze musiało się skończyć nieporozumieniem i zerwaniem stosunków. Przyczynę tego upatruję w niepohamowanej miłości własnej Sadyka-Paszy, nikogo równego, a tembardziej wyższego nie znoszącej koło siebie. Tak samo stało się i z Okszą. Jakim był Oksza jako człowiek, jest to sprawa, która mało w tej chwili mnie interesuje, to jednak jest rzeczą pewną, że zrazu przyjął go Sadyk przychylnie, a nawet dygnitarzom tureckim przedstawił, gdy jednak spostrzegł, że Orzechowski jest w działaniu swoim bezwzględny, że stosunki jego w oddziale Sadyka mogą być szkodliwe ze względu na dezorganizację kozaków otomańskich, prosił go w imię „honoru wojskowego“, gościnności tureckiej, stanowiska Polaków w służbie tureckiej i zapewne innych względów, ażeby zaprzestał wszelkiej agitacji. Trudno jednak było powstrzymywać ten rozpęd i te uczucia, jakie ogarniały Polaków, będących w służbie tureckiej. Czaykowski nie mógł tego rozumieć, a raczej nie chciał, a pragnąc utrzymać względem Turcyi stanowisko lojalne, tracił miarę, poczucie sprawiedliwości i stawał w kolizyi z temi zasadami i hasłami, które mu służyły impulsem do zawierania

alków kozackich. Jeżeli o Czaykowskim można powiedzieć, że on bawił się w kozaków, to Turcyja zdawała sobie do-
tonale sprawę z tego stanu rzeczy jaki istniał: rządowi tu-
eckiemu bynajmniej nie chodziło o Polaków, lecz o ten za-
iązek wojska *chrześcijańskiego*, jaki się utworzył przy pomocy
olaków. Tureccy mężowie stanu łudzili się, że z tych puł-
ów kozaków otomańskich wytworzy się z czasem armia sło-
iańska przeciwko Rosyi. Był to wielki błąd, a błąd ten,
yli raczej złudzenie, wywołał i utrzymywał Sadyk-Pasza.
ebecnie to złudzenie znikło, rozwiewało się, a Czaykowski
zelkich sił dokładał, ażeby je jak najdłużej utrzymać. Roz-
arowywał się — i to upokarzało jego dumę. Widział on
zędzie koło siebie intrygi i intrygantów, była to wszakże
ina jego sposobu patrzenia, a nie rzeczywistość; tym mia-
am on nazywał wszystkich — zarówno Zamoyskiego jak
innych, którzy z nim razem działać nie chcieli lub nie mogli.

Skończyło się nareszcie powstanie; rozbitków nie brak
yło i w Turcyi, a to zwiększyło znowu szeregi kozaków
omańskich i znowu złudzenia o wojsku chrześcijańskim
Turcyi górę brać poczęły. Miały być formowane nowe
alki. Tak rzeczy stały w r. 1866, gdy nagle Śniadecka,
gająca jedną z najsilniejszych bodźców w życiu Czaykow-
kiego, umarła. Śmierć jej była dla przyszłości Sadyka-Paszy
ardzo ciężką, bo go pchnęła na drogę stosunków i marzeń
ezplodnych.

Wkrótce inne prądy powiały u steru rządu tureckiego;
ympatye słowiańskie zmalały do tego stopnia, że wprowa-
dzono do oddziału Sadyka komendę turecką, kasując dotych-
czasową polsko-słowiańską. Czaykowski odczuł to i podał się
do dymisji. Zdaje się wszakże, że ona nie doszła do mini-
sterjum, gdyż nie przestawano przysyłać do niego rozkazów,
poleczeń, raportów — i jak gdyby o niczem nie wiedziano —
poleceno mu udać się do Szumli.

Tu znalazł on przychylnego sobie Abdul-Kieryma-Paszę,
któremu opowiedział wszystko z żalem; Abdul-Kierym pokrył
o polecenie milczeniem, rozkazał prowadzić dalej komendę
o słowiańsku, a turecką znać dlatego tylko, ażeby na ma-
newiach stosować się do niej. Miało to wywołać bardzo dobre
wrażenie wśród Bułgarów, ściągnąć ich do armii tureckiej i przy-
ażnie usposobić dla Sułtana. Cała sprawa wykryła się, a z Kon-

stantynopola przyszedł rozkaz sturczenia kozaków. Sadyk podał się do dymisyi. Wówczas miał powiedzieć: „wszystko mi nęło! Na starość trzeba szukać innego życia, bo w tem nie polskiem nie można było dłużej wytrzymać“.

Pułk, straciwszy swoją cechę, nie miał już żadnego znaczenia; wcielono go do pułków tureckich, a oficerowie podali się do dymisyi i rozeszli się po świecie. Sadyk pozostał nadal w służbie tureckiej i, zdawało się, zerwał zupełnie ze społeczeństwem polskiem. Ten okres jego życia najmniej przedstawia interesu ogólnego aż do chwili powrotu do Rosyi. W tym fakcie objawiły się jego poglądy polityczne i społeczne zupełnie odrębne od wygłaszanych dotychczas. Nie były one wszakże ani czemś oderwanem, rzutem myśli, że tak powiem, objawionym nagle i nieoczekiwanie, lecz genezy ich szukać trzeba w pewnym całokształcie umysłowym Sadyka-Paszy, jako człowieka i pisarza. Odpowiedź na to znaleźć można po części w jego latach młodych, po części znajdziemy ją w jego utworach literackich; poznać się z nimi zatem w krótkości musimy.

V.

Na Wschód przybył Czaykowski w pełni swojej sławy literackiej. Było to w r. 1841. Do tej chwili żył ciągle życiem wewnętrznem, marzeniem po Ukrainie lub o Ukrainie do tego stopnia, że kiedy się znalazł w grodzie Piotrowym, pobyt ten pozostał na nim bez wrażenia. Dla niego piękność starego Rzymu nie istniała. Śród pamiątek, śród ruin dawnej sławy wielkiego niegdyś państwa on przechadzał się tak obojętnie jak niegdyś Atylla i myślał o kozakach jak tamte o swoich Hunnach. Na tym „nasypie pamiątek“ potęgi i sławy widział „praojców kozacych“ (t. IV. wyd. lip.). W Rzymie (29 maja 1840 r.), poznał go tam wówczas Zyg. Krasiński i pisał o nim: „siedzi na podstawie kolumny korynckiej i gada o Skibickim, zarżniętym przez Hajdamaków; pójdzie do Koliseum i przypomina, jak ataman Konaszewicz przebił Bezborodkę; w Termach Karakali widzi Czarnieckiego jak świętego Wyhowskiego“. Śniła mu się Ukraina taka „hulaszcza“, jaką znał za młodości swojej czasów.

Zawód literacki rozpoczął już w Paryżu. Tak się zdaje. właściwie niewiadomo, prawdopodobniej w Bourges, a do Paryża przyjechał już z gotowymi rękopisami i począł drukować je tutaj z nadzwyczajną szybkością, jedno po drugim. Aleksander Jełowicki żartobliwie opowiada, że kiedy Czajkowski przyniósł do niego pierwszy swój rękopis, pismo jego, podobne do kutasów i zakręcań, przedstawiało mu się jak bajki kozackie. Był to rękopis powieści kozackich.

Jaka była przyczyna, a raczej największy impuls, który na pole działalności literackiej popchnął, Czajkowski sam najlepiej wyjaśnił: „Nudno mi, tęskno było na czuźnie. Pożyłem do pochwy szablę praocjów, a zacząłem znowu pisać o mojej dumce — kozaczyźnie; zacząłem pisać *Powieści kozackie* i *Wernyhore*. Pisarze kozaczyzny, wieszczce słowa wyśli, przemienili się jak kameleony; jak gdyby wstydzili swoich wielkich a dawnych utworów. Stroili kozaczyznę katolicyzm, w demokrację, w systemata konserwatywne, dla popularności chcieliby się zaprzeć przeszłości, o teraźniejszości kozaczyzny wstydzili się wspomnieć, ażeby się nie razić na pokutę Jezuity spowiednika albo na śmiech tuzinowego krytyka. Grzechem śmiertelnym dla tych pofrancuzkich, poniemczonych pisarzy, polityczną zbrodnią było śmieć o przyszłości kozackiej.

Taki stan rzeczy był dla mnie najsilniejszym bodźcem do wzięcia za pióro. Zacząłem pisać. Naśmiewali się J. B. Strowski i Repelowski, ale drukowali i wydawali ks. Aleksander Jełowicki i Eustachy Januszkiewicz — i moje marzenia przeobrażało się w teorię, w system, którego ja byłem autorem i ja musiałem być wykonawcą, bo nikt się nie znalazł, kto by się chciał podjąć tej pracy dla kozaczyzny i dla Polski. Rzuciłem w świat polski *Powieści kozackie*, *Wernyhore*, *Woiniki*, *Hetmana Ukrainy* i inne pisma tegoż samego ducha, wszystkie do tegoż samego celu i po tym moim programacie poszedłem się na Wschód.

Kiedy wychodziło drugie wydanie *Wernyhory* (r. 1840), byłam już w Turcji, pod opieką Monarchy, którego przodkowie, którego rząd nie podpisał żadnej umowy, krzywdzącej książkę. (Pisma t. I. Wernyhora, wyd. lip., przedm. VII.).

Ze impulsy, które go pchnęły na pole literackie były głównie osobiste, zaznaczył to Czajkowski najwyraźniej w je-

dnej ze swoich gawęd. „Z towarzyszem lat młodocianym z najlepszym moim przyjacielem gadaliśmy o tem życiu, które za nami zostało o jedenaste lat z górą i do którego nam nie powrócimy nigdy; gadaliśmy jednej zimowej nocy i wzięła taka chętka do pisania, że rady sobie dać nie mogli. Siadłem i pisałem myśląc: piszę dla siebie i dla Jana Omiecińskiego“ (Pisma t. III. Powieści kozackie i gawędy str. 2). Przeleżał więc w te powieści i gawędy marzenia swoje i czynię człowieka czynu, który siedzieć musiał bezczynnie.

Powiedziałem, że Czaykowski swój zawód literacki począł prawdopodobnie wkrótce po zamieszkaniu w Bourges a do Paryża już musiał przyjechać z zapasem rękopisów gdyż w r. 1837 wyszły po raz pierwszy jego *Powieści kozackie*, które mu zjednały rozgłos na emigracyi i w kraju. Późniejsze powieści następowały jedne po drugich z szybkością nadzwyczajną i ta właśnie okoliczność pozwala przypuszczać, że działalność literacka Czaykowskiego rozpoczęła się na kilka lat przynajmniej przed wydaniem pierwszych powieści. Być może, że pisał on, jak sam powiada, „dla siebie i dla Jana Omiecińskiego“, przyjaciela swego. Wskazywać mogą na to zdają się świeżość wrażeń, siła, obrazowość, energia artystyczna, a nawet szczerłość i naiwność w pojmovaniu i opisywaniu wypadków, które w utworach, pisanych w Konstancji i w Nowym Jorku, znikają zupełnie. Za *Powieściami kozackimi* ukazano *Wernyhora* (Paryż 1838 t. 2), *Kirżkali* (Lipsk 1839 2 t.), *Anna* (Paryż 1840 2 t.), *Gawędy* (Paryż 1840), *Stefan Czaykowski* (Paryż 1840 2 t.), *Hetman Ukrainy* (Berlin 1841 2 t.), *Ukrainki* (Paryż 1841). Dość rzucić okiem na wydawnictw, ażeby się przekonać jak to wszystko szło rączkowo, a zakończyło się prawie z wyjazdem jego na Wschód. Późniejsze powieści, jak *Nemolaka* (r. 1872, Lipsk), *Budy* (Lipsk 1872), jakoteż zbiór gawęd pod tytułem *Dziwne życie Polaków na Wschodzie* (Lipsk 1864) i *Legendy* odbiegały bardzo od pierwszych (Lipsk 1885).

Mówiąc wogóle o twórczości Czaykowskiego, możemy ją podzielić na dwa wielkie okresy, na dwie części zbliżone do siebie, ale bardzo odmienne — tak samo jak dzieło całe życie jego. Do pierwszej należałoby zaliczyć to wszystko co napisał, kończąc z rokiem wydawniczym 1841 t. j. co napisane przed wyjazdem na Wschód i to co już nieważne

stało na Wschodzie. W tym pierwszym okresie Czajkowski używał świeży materiał obserwacyjny i malarski, jaki mu wyniósł, świeży zapas wspomnień, gawęd, opowiadań bezpośrednio z kraju przyniesionych. Z wiekiem także i z czasem materiał ten malał, zacierał się, barwy przysłabły, a natomiast występowały nowe grupy przedmiotów i spostrzeżeń, z nowego życia, nowych krajów. Wierzył się, że i talent pisarza pójdzie na nowe tory. Tak nie stało. Wrażenia i doświadczenia pierwszej młodości były o tyle potężne, pamięć zatrzymała obrazy ukraińskie tak silnie, że już na inne myśli i barwy wyobraźnia jego nie mogła. Stąd też można śmiało powiedzieć, że twórczość jego wyczerpała się już w Paryżu. To co dał w Cadyzynie było reminiscencyą rzeczy ukraińskich, z wyjątkiem *jego życia Polaków i Polek*, rozsnute na tematach południowej Słowiańszczyzny. Na dolinach Tessalii, na płaszczyźnie pod Saloniką marzyła mu się Ukraina, jej obrazy, jej życie. Okres ten zaczął się już w Krymie, gdy przed oczyma na szczątkach i zwaliskach wielkiej Romy, przesuwały się walki i morderstwa hetmanów ukraińskich. One już wtenastek uciekały z przed jego oka w przeszłość bezpowrotną.

W tym drugim okresie jego twórczości pisarskiej, a raczej pracy tylko, bo twórczość opuściła go przed wyjazdem na Wschód, domieszał się czynnik, dla twórczości pisarza nie zabójczy: nienawiść do ludzi innych stronnictw i obywateli. Wsuwał on tutaj na pierwszy plan niemiłe sobie osoby i oblewał je żółcią swego zgryzionego i zbolącego serca. Własne winy, własną gorycz życia na innych składał. W ten sposób, w ten sposób, domieszany do każdej jego późniejszej twórczości literackiej, nadawał jej cechy pamfletu i wysokiego tonu. A wady tej nie umiał się pozbyć do końca życia. W tym wszystkim swoim, prawdziwym lub domniemanym, nie przeżył nigdy. Jakkolwiek *Bulgaria*, *Nemolaka*, a szczególnie *Wojna*, ostatnia jego praca, mająca cechy artystyczne, nie trafiają do tematów swojskich, Czajkowski używał już zebrany w Turcyi materiał obserwacyjny, przeważnie z *Bulgarii* i na Dobrudży. W pierwszej przebywał jako reporter, w drugiej jako wędrowny emisjaryusz i żołnierz. Nad treścią i artystyczną wartością jego utworów literackich szeroko zastanawiać się nie będę, gdyż mogłyby one

same dla siebie stanowią przedmiot studyów krytycznych, to uczynił Stanisław Tarnowski, w *Przeglądzie polskim* z r. 188

Rozpatrując całokształt życia tego niezwyklego względem charakteru, talentu i temperamentu człowieka, uszę zachować pewien stosunek między jego pracą literacką a działalnością polityczno-wojskową i przyznać należy, że literatura dla niego najmniej miała znaczenia. Przez literaturę wszedł on do innego celu, torowała mu ona drogę do czegoś a skoro tę drogę raz znalazł, literatura przestała być dla niego środkiem.

Nie chcę przez to bynajmniej powiedzieć, że praca literacka jest małego znaczenia. Już sam wpływ, jaki wywarła na współczesne społeczeństwo polskie, wpływ nie przeczony i wielki, dowodzi najlepiej, że to nie był pisarz tuzinkowy, że do skarbnicy literatury coś wnosił. Tak istotnie było: on, pominąwszy marzenia jego kozacko-polsko-słowiańskie, bałamutne, niejasne, a nie zawsze sympatyczne, skończył na gorącym uczynku, że tak powiem, typy i życie chwili z życia ukraińskiego społeczeństwa, w której sam Odtworzył dobrych stron tego życia mało, podniosłych i wadliwych ani zadań, ani celów, ani charakterów nie tykał, wady przedstawiał świetnie i to w taki sposób, że u wad bardzo nie wydawały się wadami. Kozaczyzna jego tak samo jak i szlachectwo były chimeryczne, swawolne, nierówne. W znalazł on i zastosował do tych stanów wyraz „szablistość” który w oderwaniu wzięty nie miał żadnego znaczenia, pod względem treści doskonale odpowiadał pojęciu fanfaroni wojskowej. Satyryczny *Pszonka* pisząc o nowonarodzonych ideach, powiadał: „idea szablistości znaczy, że zbawienie i ideałski w tem jest całe, aby szablą jak najwięcej machać. Ma być płód Michała Czajkowskiego. Utrzymują, jakoby nasz polski wstąpił bez pośrednictwa w kałamarz Czajkowskiego i zapłodnił tą ideą jego romanse”. (*Pszonka* str. 15).

Powieściami kozackimi nazwał Czajkowski krótkie wiadomości na tle wspomnień r. 1831 i przed nim osnuł. W znaczeniu terażniejszej klasyfikacji niepodobna ich nazwać powieściami, bo brak im grupy wypadków jednością i opowiadania połączonych; jeden fakt, jedno wspomnienie, jeden wypadek, jeden obraz niekiedy autor chwyta i na pierze przenosi z obawy, ażeby nie zatarł się, nie rozplył

zginął. Są tutaj wspomnienia z różnych chwil r. 1831, bytych i odczuty przez pisarza, różnych zdarzeń i bitew, są bardzo żywo i barwnie opisane. Bitwy są pełne życia: widać że autor tam był, zna je, proch wahał, przez tę gołkę sam przeszedł. Tu da opis jakiegoś zwyczaju ludowego (III, 5), ówdzie zamasyisty opis konia (str. 14), ale na takie miary i prawdy, na punkcie wierności tła historycznego i wogóle samej historyi, szczególnie stosunków polsko-ukraińskich, nie umie utrzymać równowagi i wiernym nigdy nie jest. Przeszkadza mu do tego nietylko wybujały subjektivism, ale osobiste poglądy na kozaczyznę i słowiańszczyznę, temi napęlnia usta bohaterów swoich lub rozplywa się w zeznaniach długich i licznych, powstrzymujących prawidłowy tok opowiadania. Temperament unosi go ustawicznie i nie pozwala spokojnie wcielić się i wmyśleć w dzieje; z tej też przyczyną, prawie wszystkie jego powieści, napisane we Francji, grzeszą jednostajnem i niewyraźnem tłem historycznem. Polacy i kozacy różnych epok dziejowych są podobni sobie i raczej przypominają kozaczyznę dworską XVIII wieku niż hajdamaczyznę i kozaczyznę, walczącą z Polską; w nich tylko zamiast króla podstawia pierwszego lepszego księcia ukraińsko-podolskiego, a zamiast Rzeczypospolitej, jego dwór, a tożsamość zrozumieć. Wierność królowi i Rzeczypospolitej — tożsamość panu, który mu daje „barwę“. Napróżno historyk chciałby odgadnąć do jakiej epoki ci kozacy należą — istna główka — nie zgadnie tego. „Za Batorego Lachy z koźmi tak się kochają jak gdyby pod jednym dachem wzrosły z jednej matki pierś ssali“. (Pisma t. III, str. 9). Kozacy Czajkowskiego „dość wiedzieć, że ojczyzna, że wolność jest, że ona, aby rzucił wszystko i leciał ku jej obronie“ (ibid.).

Doprawdy nie można powstrzymać się od smutnego wrażenia, czytając to wszystko i gdyby nie niewątpliwa szczerść tego, co pisarz mówi, która nas rozbraja, możnaby go pocieszyć o złą wolę.

Kozacy jego trochę podobni do kozaków Bohdana Zaleskiego i tu i tam wzięta jest kozaczyzna wogóle z najsłabszej strony; tylko że gdy Czajkowski, widząc zło, pisuje to królom i Jezuitom, pragnącym ich nawrócić na katolicyzm, Bohdan Zaleski sprawy religijnej nie dotyka. Po wyłączeniu kozaczyzny historycznem, patrzą oni na nią

ze strony, powiedziałbym, malowniczej rycerskiej, bez względu na to, czy to jest Sahajdaczny, Doroszenko, Mazepa, R lub nawet Gonta.

W *Wernyhorze* dał nam Czaykowski po raz pierwszy obraz dziejowy pewnej chwili — bardzo smutnej, groźnej i ckiej. Przedstawił tu mianowicie ruch włościański, znany nazwą *Koliszczyzny*, który w r. 1768 wybuchnął. Jako obraz powieść ta przedstawia dużo żywości i plastyczności, du świeżego kolorytu ukraińskiego, jako całość powieściowa fałszywą, nieproporcjonalną i nie zawsze konsekwentną. Przedewszystkiem rola tytułowego bohatera bardzo mało roznięta, a pojęcie charakteru tej legendowej postaci, powiedziałbym, pospolite. Autor wyposażył go w zdrowy rozum, i mu znamiona uczciwego, prawego, dobrego, trzeźwego nad pod względem zrozumienia bieżącej sytuacji człowieka, poza ten kres nie poszedł. Stąd też ta mierność jego usłowa nie robi żadnego wrażenia w otoczeniu tak niezwykle jak moment dziejowy.

W powieści tej autor wysunął naprzód szczegóły jak święcenie nożów — prawdziwe jako fakt pojedynku ale fałszywe jako uogólnienie. Fabuła powieściowa wije bardzo rozwlekle między Tamara, doskonałym typem pet burskiego, salonowego kozaka, między kozakami Nekr a Magdaleną Chiczewską. Tamara, przeznaczony przez c rzową Katarzynę II. na hetmana Ukrainy, przyjeżdża z tersburga dla poznania kraju, w którym ma „panować“. Wier dyrektywie dworu petersburskiego, wielkoświatowy szalał marzący ciągle o salonach, Petersburgu, karyerze, rozkoch się w prostej szlachciance, ale z tych co to na zagrodzie wny wojewodzie — właśnie w Magdalenie Chiczewskiej. wszakże trafił. Serce panny już było zajęte przez Nekr kozaka. U Czaykowskiego kozacy to nie „motłoch“ wed jego własnego wyrażenia, ale jakaś osobliwego rodzaju szla nieznana w historii. Kozacy przeto w jego powieściach i za pan-brat ze szlachtą polską, a w szlachciankach koci się zawsze na zabój. Co dziwniejsza, że nawet karmazyny opierają się temu, a cóż dopiero taka szlachta jak Imci Chiczewski. Ale też trzeba dodać, że i kozacy Czaykowski są prawdziwymi szlachciami, noszą tylko nazwę kosa i po kozacku się noszą, a na pierwszy odgłos: „król i Rz

ca „w mig“ miądżyć wszystkich „na łój na masło“ — według ulubionego wyrażenia się Czaykowskiego. Takim kozakiem był także Nekrasa — jakże go miała nie kochać.

Wybuchł tedy bunt hajdamacki. Nekrasa chciał się w tę sprawę w mieszać, ażeby burzę zażegnać, tymczasem hajdamacy, ludzie niepolityczni, zatrzymali go. W tej burzy zbójeckiej dostał się w ręce hajdamaków i stary Chiczewski, ojciec Magdaleny. Widząc wśród gromady rabusiów i zbójów Nekrasę, domyślał się zdrady, gdyż inaczej nie mógł wytłumaczyć sobie skądby się pośród nich mógł znaleźć Nekrasa. Przekonawszy się, że z rąk hajdamackich nie ujdzie cało, Chiczewski pisze do żony list, przestrzegając ją, ażeby córki za niego nie dawała. Tymczasem Nekrasa zdołał z rąk rabusiów wyzwolić się i, nie widziawszy się z Chiczewską ani narzeczoną, wyjechał do Krymu w poselstwie jakimś do hana. Tamara także nie zasypiał sprawy i, zjednawszy sobie opiekunów Magdaleny, za ich pośrednictwem nacierał na przyspieszenie ślubu. Dla młodej dziewczyny ponęta była wielka: Tamara miała ogromną przyszłość przed sobą. Zdaleka przedstawiano jej świetność tego małżeństwa, dwór petersburski, życie na wielkim świecie. Pod wpływem takich argumentów stopniało serce matki. Ale odporniejszą okazała się córka. Tamara, spotkawszy przeszkodę ze strony panny, pragnął ją przełamać sposobem prostym i znanym: zamierzył wykraść Magdaleny i ślub wziąć przemocą. Matka miała wszakże córkę na wydanie, ale na sprzedaż — nie. Tamara wziął się do czynu niezręcznie, służba się pobudziła i wykonaniu zamiaru przeszkodziła. Magdalena, widząc, że ten kozak salonowy pragnie ją przemocą porwać w małżeństwo, rozumuje sobie po staropolsku: albo małżeństwo z ukochanym albo klasztor. Ukochany nie zjawiał się — wstąpiła do klasztoru. Wrócił on wprawdzie, ale zapóźno: śluby zakonne już były wykonane.

Tak gładko w streszczeniu przedstawia się *Wernyhora*, w czytaniu epizodyczność i rozwlekłość, jakoteż kwiecistość i nienaturalność stylu czynią ją czułą, chropawą i ciężką.

Z wyjątkiem powieści *Anna*, wszystkie inne są historyczne. Naturalnie, mam tu na myśli te tylko, które się kończą z rokiem 1841. Późniejsze — jak *Dziwne życie Polaków* i *Polak*, jakoteż *Legandy* nie mają już charakteru powieścio-

wego, chociaż tło historyczne, a *Bulgarya* i *Nemolaka* należą do współczesnych, osnutych na stosunkach chwili bieżącej. Historyczność ich, niepewna i niewyraźna pod względem dzielnym, odnosi się raczej do osób działających, niż do trwałości i wierności historycznego obrazu społeczeństwa. W ciągu tej swojej kilkoletniej działalności pisarskiej, odstąpił Czajkowski od historycznego tematu polskiego raz tylko, dając powieść *Kirdżali*. Z powieścią tą wkroczył on do świata muzułmańsko-słowiańskiego, nieznanego mu zupełnie, a przedstawia go z temi samemi cechami i barwami jak przedstawiał świat kozacki. Dzikość, gwałtowność niepohamowana w czynach i uczuciach, fantastyczność sympatyczna ale nieprawdziwa odznaczają tę powieść tak samo jak wszystkie utwory Czajkowskiego na tle kozaczyzny. Już wówczas, kiedy pisał *Kirdżalę*, rwał się niewątpliwie Czajkowski do świata muzułmańskiego i południowo-słowiańskiego, pragnąc tam wcielić swoje idee o kozaczyźnie i rozbudzić świat słowiański na korzyść interesów polskich. Może tą powieścią awanturniczą pragnął sobie utorować drogę do serca wszystkich oczajduszów, jednak jest prawdą, że powieść ta porwała i zachwycała bardzo młode umysły, żadne niezwykłego życia i wybijała młode myśli z normalnego biegu. We dwadzieścia kilka lat po napisaniu jej, Czajkowski, już jako Mechmed Sadyk-Pasza był z niej niezadowolony — niezadowolony bardzo z powodu, że świat muzułmański przedstawił zbyt czarno. Gniewał się na Lamartin'a, Girardin'a i innych pisarzy o Wschodzie za to, że mu ten świat w fałszywym świetle przedstawili, prace ich nazwał „ramotami potentatów publicznych”. Sąd strasznie niesmaczny i zarozumiwały. Ganiąc innych, chciał w ten sposób wytłumaczyć błędy popełnione w *Kirdżalim*, czerpiąc z nich wiedzę swoją o Wschodzie. „Chociaż — powiada w r. 1862 — przywilej powieściarza, tak jak myśliciów, jest tworzyć prawdopodobne rzeczy, a nie prawdę, powinnością bawić a nie uczyć, jednakże każdy z tych powieściarzy, dotknąwszy Wschodu ciałem i duchem, żałuje że był w błędzie i nie do siebie mówi: wolałbym być nie pisać tak jakem pisał”. (Pisma t. II, przedmowa, VIII). St. Tarnowski, który w cytowanym już artykule o Czajkowskim, jedynym najlepszym i najszerszym, w którym objął wyłącznie tylko działalność jego literacką, słusznie robi uwagę, że w *Kirdżalim* należy u

ywać początków tej pokusy, która go później uwiodła i na schód zawiodła (str. 423 Przegląd pol. 1886).

Treść tej powieści bardzo awanturnicza, przesiąknięta fatalizmem, a często nieprawdopodobna. Słowiańszczyzna podniowa gotuje się do zerwania pęt tureckich, i szuka człowieka, któryby na czele jej stanął. Sprzysiężeni nie żądają od niego żadnych przymiotów ani umysłu, ani ducha: odwagi, doświadczenia wojkowych, znajomości kraju i ludzi, stosunków społecznych, któreby mu dopomogły do zwycięstwa. Wierzą oni natomiast w przepowiednię, że zwyciężą dopiero wówczas, gdy będą mieli wodza z krwi polskiej. Co ważniejsza, że naiwność tej przepowiedni wierzą wszyscy. Opieranie zwycięstwa na przypadkowości w chwili tak ważnej, gdy ważą losy całego narodu, jest poniekąd wskazówką, że cała powieść pójdzie torem niezwykłym. Istotnie, sprzysiężeni znaleźli sobie takiego bohatera. Był nim Kirdźali, giermek siliwskiego baszy, muzułmanin, ale pochodzący z krwi chrześcijańskiej, a w dodatku był synem Polaka. Ten ostatni warunek jest na razie najważniejszym. Wchodzą tedy z nim do porozumienia i wciągają do spisku. Oczywiście, ponieważ to powieść awanturnicza w całym tego słowa znaczeniu, Kirdźali zgadza się zdradzić i zamordować paszę, a dopiero potem pójść do sprzysiężonych. Okazało się, że nie jest to tak łatwą jak się zdawało: na przeszkodzie stanęły osoby i piękne oczy córki baszy, którą go o ratunek ojca prosili. Wahający się między zdradą a miłością, Kirdźali idzie pod popędem serca; później wszakże zdradza baszę, Selim ucieka do swoich. Po ucieczce przyjął chrześcijaństwo i ożenił się. Szczęścia w miłości nie znalazł jednak, bo go nie było w jego niespokojnej, gorącej duszy. Wkrótce począł postrzywać bojara Tudora o tajemne miłostki z żoną; żonę uczynił nieszczęśliwą, a sam, skutkiem swego gwałtownego charakteru także ani szczęścia, ani spokoju nie zaznał. Namiętny, zazdrosny, niepohamowany, zamordowawszy niewinnego Tudora, sam wreszcie padł w bitwie z Arnautami. I przepowiednia nie sprawdziła się, zapewne dlatego, że „taki koniec nieszczęścia zapisany był dla nich w księdze przeznaczenia“.

Streściwszy króciutko główny temat powieściowy, nie będziemy zastanawiać nad epizodycznymi postaciami i wypad-

kami a jest tego dużo, wszystko to na tle jaskrawem, wem, awanturczym, pełnym fantazyi zamaszystej. Brak wady objawia się tutaj nietylko w pojmowaniu charakteru ale i w dyalogu, który jest pretensjonalnym, szcudłowatym. Janczarowie, krew, zabójstwa, krzywe szable, gorąca miłość, gwałtowna zdrada, przebaczenia przed śmiercią — wszystko to autor nagromadził w dużej ilości, jak gdyby pragnął umyślnie nie pokazać przepych awanturczych Wschodu.

Najlepiej niezawodnie pod względem równości i prawdziwości opowiadania przedstawia się *Stefan Czarniecki*. Wzrost się, wczytać się w dzieje, tak, ażeby ducha ich zrozumieć i oblicze pewnego okresu odtworzyć, Czaykowski nie umie i nawet śmiało można powiedzieć — nie potrafi. Zna on fakty dziejowe, wypadki, zdarzenia, osoby, ale całości nie umie sobie wyobrazić i dlatego wszystkie jego powieści historyczne robią wrażenie rysunku bez perspektywy, a raczej malowidła nietylko bez perspektywy, ale malowanego w jednobarwę. Od tej wady, nie wiem czy ducha czy talentu pisarza nie jest bynajmniej wolny *Stefan Czarniecki*, lepszy wszak o tyle od innych powieści historycznych, że posiada więcej prawdopodobieństwa. Pominę i tutaj stronę historyczną powieści, a streszczę tylko fabułę.

I w tej powieści występuje ulubiony temat M. Czajkowskiego: miłość między kozakiem a szlachcianką; ten temat o tyle chyba odmienny, że szlachcianka nie jest byle jaką lecz Joanną Lanckorońską. Tak więc z jednej strony występuje kozak Samen Tetera, syn hetmana ukraińskiego Tetere a przybrany syn Stefana Czarnieckiego, z drugiej — córka hetmańska Joanna Lanckorońska. W samym zestawieniu tych nazwisk tkwi mrzonka ulubiona Czajkowskiego o równości szlachetczyzny z kozaczyzną. Opierała się ona na tem błędnym mniemaniu, że Daszkowicze, Wiśniowieccy, Zborowski a nawet Chmielnicy i Wyhowscy — nie biorąc w rachubę drobiazgu szlacheckiego z Polesia kijowskiego — byli koźkami i przedstawicielami jakiejś niby arystokracji koźkiej, gdy w samej rzeczy byli oni i przyznawali się całe życie tylko do szlachectwa polskiego, a kozakowanie uważali tylko jako swawolę, bądź jako rodzaj służby wojskowej. Gdyż nie ta szlachta polska, kozakująca na kresach, a spanosząca w imię nadziei ambitnych odrywająca się od pnia mro-

stego — nie byłoby wojen kozackich. Kozaczyzna Bohunów, Krzywonosów, Puszkarenków, a później Sahajdaczyńskich, Doroszenków, nawet Palijów i Sirków, tembardziej Żeleźniaków i Gontów nie miała i nie mogła mieć nic wspólnego ze społeczeństwem szlacheckim Rzeczypospolitej. Bierali oni niejednokrotnie Polki za żony, ale tylko przemocą. Współczesny szlachcic nadto dobrze wiedział, że duch kozacki to duch rozbójnictwa kresowego, niespokojny, gwałtowny, dziki, fanatyczny skutkiem ciemnoty; pogląd ten zapisał zbyt wyraźnie w *Volumina legum* — nic przeto dziwnego, że ani do przyjaźni ani do związku z kozakami nie dążył i zaszczytu tego nie szukał. A tymczasem Czaykowskiemu ciągle marzyła się równość kozacko-szlachectwa i przyszłość w ten sposób zrozumianą pragnął narzucić nowożytnemu czytelnikowi.

W *Stefanie Czarnieckim* ta sama teza. Lanckorońska, córka wielkiego rodu wybrała sobie na męża syna kozackiego, cieszącego się bardzo młodem szlacheństwem. Gdyby autor traktował ten stosunek jako przypadkowy, którego nierówność rozumiano, rzecz przedstawiałaby się zupełnie inaczej. Biorąc rzecz ze stanowiska owoczesnego, zdarzało się, że szlachcianki polskie siadały na tronach potężnych państw, ale szlachectwa swego nie mieniały na buławy hetmańskie, a w dodatku hetmanów kozackich.

Tak czy inaczej, dość że w powieści Czaykowskiego panna i kozak kochali się. Byliby się może już na pierwszej karcie pobrali, gdyby nie potrzeba „bawienia“ czytelnika, a zatem wprowadzenie do powieści różnych przygód. Autor wynalazł sobie złego ducha w osobie Samuela Gnoińskiego. Jest on stronnikiem Szweda, zdrajcą króla, butny, ambitny, pycha go rozsądza, nie przeto dziwnego, że zachciwa mu się hetmanówny. Byłby może dopiął swego celu, gdyby na drodze do pragnień nie stanęła mu — kobieta. Była to Radziejowska, wdowa po jednym, rozwiedziona z drugim mężem, w sprawach miłosnych doświadczona i idąca drogą na przebój do pozyskania jeżeli nie serca to ręki i osoby pana Samuela. Między tymi osobami autor zręcznie nawiązał intrygę, narzucał im na drogę życia mnóstwo cierni i przeszkód, które trzeba było pokonywać i w ten sposób zdołał powieść uczynić bardzo żywą i interesującą. Gdyby Czaykowski żył teraz, pewna grona krytyków, dla których literatura polska zaczyna się

i kończy na Sienkiewiczzu, powiedziałyby, że autor „naśladował“, albo co najmniej „był pod wpływem“ autora Zosi czy Kasi — mniejsza o imię. Ale ponieważ *Stefan Czarniecki* ukazał się w r. 1841, trudno chyba Sadyka-Paszę o naśladownictwo posądzić. A są u niego oprócz awantur prawdziwie cudownych, jakie tylko w *Ogniem i mieczem*, w *Potopie* lub *Wołodyjowskim* znaleźć można, nawet postacie żywcem wyjęte z *Trylogii*, jak n. p. Żytkiewicz. Przyznam się wszakże, że mię to podobieństwo mało interesuje. Muszę się trzymać w ramach charakterystyki zasadniczej, a szczegółami typów i charakterów zajmować się nie mogę.

Przechodzę tedy do dalszego streszczenia romansu. Ażebym pannę zdobyć i przeszkody zwalczyć, Gnoiński zawiera alians nietylko ze Szwedami, ale ze szpiegami i krewnymi hetmanówny. Byłby może łatwiej dopiął celu, gdyby to nie była sprawa z Czarnieckim, opiekunem Joanny i ojcem przybranym Tetery. Ten sobie stanowczo nie życzy na męża dla niej Gnoińskiego. Rozpoczyna się tedy gonienie za panną. Wobec niepokojów w kraju, zamknięto ją w obronnej Lanekoronie. Ale --- jak nieszczęście to nieszczęście — Lanekoronę zdobywają Szwedzi, autor zdołał jednak szczęśliwie uratować Joannę i przewieźć ją do Krup, zamku w Lubelskiem. Zdawało się, że tu już będzie spokojnie. Oddalona od świata, od ludzi, od niebezpieczeństwa, panna mogła spokojnie marzyć o kochanku. Ale myślano też i o niej. Do zamku w Krupach przyjechał Imci pan Żytkiewicz, rodzaj Zagłoby, jakby powiedziano u nas; po co przyjechał to przyjechał, dość, że zjawił się nie sam ale z dwiema paniami. Do pań któżby się tam przypatrywał, zwłaszcza, że oblicza swoje zakrywały, zabawił czas krótki i z dwiema odjechał. Ledwie jednak zamek opuścił, wpada Gnoiński. Postanowił on wziąć ślub z hetmanówną. Przeszkód niema żadnych, jest panem sytuacji. Każę ubierać pannę młodą i prowadzić do ołtarza. Wtem — trach! Jak z pod ziemi wyskoczyło wojsko królewskie, zdobyło zamek, wpadło do kaplicy, co za dziwo! — przed ołtarzem stoi zamiast Joanny pani Radziejowska. A to taką zmianę urządził stary urwis Żytkiewicz. Możnaby śmiało powiedzieć, że scena wyjęta żywcem z jakiejś powieści historycznej Sienkiewicza.

Na tem bynajmniej nie kończą się cudowne przygody.

Hetmanówna uciekła do Warki, a tu za nią Szwedzi! Biedna kobieta schroniła się na wieżę kościelną. Tylko niedoświadczona kobieta mogła się tam schować, boć przecie na wystrzały armatnie była więcej narażona, niż dajmy na to — w piwnicy. Ale Czaykowski niedaremnie ją tak wysoko schował. Siedząc na wieży widzi ona jak nadciągają wojska polskie, poznaje Czarnieckiego i Teterę — bitwa — Szwedzi pobici, uciekają. Panna na to wszystko patrzy. Zdaje się, że już powinien być koniec powieści, gdyż pannie, znękaney wypadkami, należy się także trochę spokoju. Ale póki żyje Gnoiński, spokoju nie będzie. Otóż, i na to znalazł się sposób. Stary burgrabia lanckoroński Radzik zabija go święconą kulą jako zdrajcę — poczem dopiero — dobrze zasłużony — ślub.

Pomimo zwykłej cechy talentu pisarskiego Czaykowskiego, awanturniczości, powieść ta zharmonizowaniem i ustosunkowaniem wypadków, żywością i ciągłością akcji, brakiem koturnowych bohaterów, zalicza się niewątpliwie do najlepszych i nawet obok Sienkiewicza czytać ją można. Psychologicznego pogłębienia nadaremnie tu szukać, ale prawdy dużo. Kochankowie mało do siebie mówią, a miłość okazują sobie w sposób bardzo pierwotny i naiwny: ona zna tylko jedną mowę zakochanych prowincjonalnych panienek — westchnienie, a jemu wyrazem uczuć służy skarogniady konik. Zdaje się, że między jeźdźcem a koniem istnieje jakiś prąd galwaniczny czy inny, który koniowi znać daje o usposobieniu jeźdźcy; gdy pan Semen wesoły — skarogniady skacze, gdy smutny — skarogniady zwiesza głowę. Taki nastrój konia w stosunku do jeźdźcy, wziął Czaykowski, jak wiele innych porównań, z pieśni ludowych ukraińskich.

W *Koszowacie* także się bez kozaka nie obešlo. I w tej niedługiej powieści, jak w *Wernyhorze*, opowiadanie rozszerza się na tle pomruku hajdamackiego, a kończy się morderstwem bezcelowem. Córka cześnika Marya wyszła za mąż za starostę koszowackiego, któremu wojewoda kijowski podarował kozaka Maksyma. Starosta, człowiek szorstki, ostry, gwałtowny, dla żony tyran i podejrzliwy, lubi nadstawiać ucha na skargi i żale pochlebców, a Maksym, jak wszyscy kozacy Czaykowskiego, przebrany w „barwę“ pańską trochę przypomina kozaka z *Maryi* Malczewskiego. Jest to feniks, nie z pociółów kozaczyzny powstały, ale z marzeń autora. Do-

bry, piękny, odważny, szlachetny, niewinny, jednym słowem, według własnego, a raczej ludowego ukraińskiego powiedzenia, często stosowanego przez Czaykowskiego — „gdzie nie powróć — to kozak“. Ile autor pięknych barw udzielił Maksymowi, tyle czarnych nie poskąpił staroście i „panom braciom“. Tajemnie wzdycha on do żony starosty, spostrzegając to żyd — raportujący staroście w roli szpiega i rządcą koszowacki; nie dziwnego, że takie podejrzenie, rzucone na żonę, napęla goryczą starostę i źle go usposabia dla Maksyma. Maksym „czerwienieje“, „dumnie rzuca okiem“, ale on, odważny zwykle, nie umie zdobyć się na krok stanowczy; Marya „spuszcza oczy“, czule patrzy, ale gdzieżby ona miała odwagę przyznać się, że kocha „chama“. Czuje tylko dla niego wdzięczność za to, że raz, gdy wracali z odwiedzin sąsiedzkich do domu, w lesie, w noc zimową, kiedy wiley „kiczkami“ chodzą, a na jadących napadła taka gromada, Maksym dla ratowania „państwa“ skoczył między wilków. Tu odbyła się scena naśladowana z Sienkiewicza, której epilog był taki, że Maksym z pośród wilków wyskoczył wprost na dąb i tam sobie siedział spokojnie, patrząc z góry jak wiley, zamiast jego, burkę rzuconą im na pastwę, w kawały szarpią. Szkoda tylko, że wraz z Maksymem zginęła tajemnica tego w jaki sposób zrobił on ów skok na wierzchołek dębu, godny nieśmiertelnego sowizdrzała Zagłoby.

Na dworze koszowackim była dziewczyna służebna Maryi Marta, do której zalecał się pisarz Jurko, przechrzta. Ale Jurko ani w myśli jej nie powstał, gdyż oczy jej zwracały się w tym samym kierunku co i pani — na Maksyma. Wmieszła się w tę sprawę sercową Marya, wymogła wyznanie miłości u dziewczyny, nieme przyzwolenie kozaka, ale nie spał także i rządcą, którego oczy podnosiły się również nieśmiało na Maryę. Obudził on — niewiadomo w jaki sposób zazdrość w sercu starosty, który kazał Maksyma zabić w „husaka“ i do więzienia wtrącić. Byłby tam niezawodnie odważny kozak życie zakończył, dzięki temu, że Czaykowski święcie wierzy w barbarzyństwo szlachty względem kozaków i smaży ich, wbrew prawdzie historycznej, na żelaznych wółach, ale znaleźli się ludzie litościwi w postaci hajdamaków. Zbierali się oni już dawno na dwór koszowacki, dlatego, ażeby „pidpomohty sia“. Napadli, starostę i rządcę zamordowali,

Maksyma z „husaka“ wypuścili, ale on ani myślał rabować z nich — rzucił się co rychlej na obronę Maryi. Cud „szablistości“ dokazywał, aż zdołał nareszcie ocalić Matkę — i cóż? Skończyło się tak, jak kończy się nitka przysobiona do nawleczenia — cieniutkiem włókienką. Kiedy Matka zapytała: kto się chce żenić z panią? Ani jednego młodego nie było. Maksym ze swojej biernej miłości nie wyjechał. Jemu i jej zabrakło odwagi, co jest tem dziwniejsze, że autor przygotował na koniec jeszcze jedną niespodziankę, która do pobrania się mogła utorować drogę. Zamek kozacki, a raczej dwór obronny, bo zamku nigdy tam nie było, nie leżał nigdy do arystokraty kozackiego Imci pana Czorby, sławnego Apostoła, hetmana wprawdzie nigdy, ale zawłoki Wołoszczyzny. Otóż ów Czorba miał syna, który mu się kiedyś zawieruszył. Na ostatniej karcie powieści dowiedzimy się, że Maksym był właśnie owym zgubionym synem. Obecnie tego już nawet nie na przeszkodzie do małżeństwa stało. Powieść więc pod tym względem czytelników, luźnych zakończenie jasne, nie zadowalnia.

O *Ukrainkach i Hetmanie Ukrainy*, którego przedmiotem jest śmierć Wyhowskiego, rozwodzić się nie będę. Nie przypada ona pod względem charakterystyki i cech pisarskich nic nowego. Kozacy ci sami, nie kozacy historyczni, ale Czajkowski, utworzeni trochę na modłę kozaków otomańskich. Są oni albo skromni jak panny, czerwienieją i spuszczały oczy, albo dumni, patrzący iskrzącymi oczyma — jak Maksym w *Koziaku*. Wszyscy oni odważni odwagą dzikiego człowieka, „biażdżą na łój na masło“ kogo się nadarzy — Niemców — Polaków albo braci szlachciców. Jeżeli piją, to najchętniej piją duszkiem, bez względu na to, czy maliniak, czy siwuchę; jeżeli u progu pańskiego — to maliniak, jeżeli w karcie — to siwuchę. Na koniach harcują jak waryaty, a na wrogniadych najczęściej autor każe swoim bohaterom dawać „kasy“ i „szczupaki“.

Powieść współczesna nie przypadła do smaku Czajkowskiemu; nie godziła się ona z jego temperamentem, charakterem, usposobieniem — słowem, z całą jego naturą. On był także trochę kozakiem, na wzór tych, jakich w powieściach przedstawiał, ciasno więc mu było na bruku i w sianie. Wady społeczne, narodowe i towarzyskie dostrzegł do-

brze, ale przedstawić ich z pewnym wdziękiem salonowego życia nie umiał. Okazało się to najlepiej na *Annie*. Typ szlachcianki, której literatura francuska przewróciła w głowie, lekomyślniej, głupiej, próżnej, zaobserwowany w Pani Marszałkowej bardzo dobrze. Można śmiało powiedzieć, że Czajkowski był jednym z pierwszych, który taki typ przedstawił. Dziś on zanika zupełnie, polskie społeczeństwo poważnie i pogłębia się; tylko jeszcze na tak zwanym wielkim świecie resztek takiego typu doszukać się można. Są to pod wieloma względami nieszczęśliwe istoty niedouczzone, zmanierowane, wychowane na powieściach francuskich i żyjące, jak dawniej w świecie pani Sand i Dumasów tak teraz różnych Ohnet'ów a nawet Zola'ów, Goncourt'ów i t. p. Owa marszałkowa w *Annie* nietylko sama wypaczona tą niby wielkoświetczyzną, ale ciągnie w przepaść sentymentalną pannę Annę. Marszałkowi chora niezawodnie na pańskość i na „modne tony“, gadająca bezustannie po francusku, piłująca męża, starego napoleonistę o sprowadzenie książek francuskich dla córki, jeszcze dziś nietylko byłaby typem przeżytym, gdyby tylko postawić ją w nowych, żytych warunkach otoczenia. Anna, naczytawszy się powieści — jak Tarnowski mówi — o poetycznych rozbójnikach szlachetnych złodziejach, interesujących oszustach, miała zarówno wyobraźnię jak i uczucia zupełnie wypaczone. Kocha się w niej człowiek prawy, trzeźwy, dobry p. Jan — ale panna nienka ani spojrzy na niego, bo w nocy śnią jej się hrabia wie i książęta z romansów, a jeżeli ma już pójść zamąż, to za jakiegoś wykształconego i światowego człowieka.

Los wkrótce jej takiego człowieka zsyła. W podróży swoich między Berdyczowem a Żytomierzem poznaje on właśnie czarującego młodego człowieka, hr. Adalberta Bonawicza. Gładki, łatwy, przystępny, „wyższym duchem“ obdarzony pan hrabia Adalbert zdobywa sobie bardzo łatwo serce młodej panny. Kawaler jak z powieści. Ona właśnie o takim marzyła. Następuje miłość wzajemna gorąca i gwałtowna, jak w najpiękniejszym romansie francuskim. Daremnie ojciec wchodzi w hr. Adalberta pospolitego blagiera, ostrzega i na związek małżeński nie pozwala, matka staje po stronie córki. Anna, bierna, sentymentalna, głupiutka, niedoświadczona a rozkochana, nie daje sobie wyperswadować nawet zrzeczenia się możliwości posiadania takiego skarbu, jakim jest hr. Bonawicz.

nie mówią o nim na ucho bardzo źle, ale to nietylko jej ochładza, lecz przeciwnie, budzi w niej pragnienie poprawienia złego człowieka, na tej zapewne zasadzie, że jak się imi, to się odmieni. Ale — jak to zrobić? Ojciec na nic wolić nie chce. Sąsiadki wraz z matką i córką na walnej radzie postanawiają skorzystać ze sposobności. Marszałek ma zamiar wyjechać do Petersburga. Chwila ta wydaje się najwłaściwszą do tego — jak wróci już będzie po harapie. W inną nie pozostanie jak tylko dać ojcowskie pozwolenie i błogosławieństwo. Robią się tedy starania o indult, po cichu przygotowania, wreszcie ślub. Ledwie wziął ślub, już czekała niespodzianka bardzo niemiła: dowiedział się, że hrabia już jedną żonę ma... Bardzo niemiła historia, ma tylko dwa rozwiązania: albo ucieczka albo więzienie. Hrabia wybiera ucieczkę. Zostawia drugą żonę w sąsiedztwie, a on umyka.

Po tej próbie romansowej, zakończonej bardzo nieszczęśliwie, Anna przychodzi do rozwagi i zastanowienia. Ochłodziła, dojrzała w smutku. W takiej chwili zjawia się przed nią odrzucony Jan, który ją zawsze kocha. Uczciwe uczucia zmuszają ją brać górę, a tymczasem hrabia-mąż nie zjawia się, nie wiadomo czy się zjawi, zresztą — gdyby się nawet zjawił, wszakże małżeństwo jego wobec prawa nieważne. Hrabia szuka wyjścia. Do tego jedna tylko droga prowadzi: ucieczka. A tymczasem miłość dla Jana wzrasta. Autor wydołał z kłopotu wszystkich, i czytelnika i zakochaną parę: kazał hrabie umrzeć i w ten sposób utorował drogę do nowego małżeństwa.

Co do treści, powieść ta nie jest wcale złą — dziś nawet, dla współczesnych miała nawet swoje duże znaczenie. Choć że w opowiadaniu nie tak wszystko szło gładko, epizodyczność, gadulstwo i nienaturalność czynią ją dla współczesnego czytelnika — nudną po prostu.

VI.

Drugi okres działalności literackiej Sadyka-Paszy od r. 1841 był mało płodny. Wspomniałem już o tem ściowo. Czaykowski nie był tylko pisarzem, ale człowiekiem czynu, gdy pole dla siebie znalazł, literatura stała się drugim planie jego życia. Jest to tak dalece prawdą, że można dokładnie oznaczyć czas powrotu jego do pióra: wówczas właśnie, gdy się rozstał z ideałami dawnymi, a oderwany od kraju i zbłąkany na manowcach polityki słowiańskiej w Turcji, jał się z goryczą analizować to, co niedawno kosztowało. Nie mając możliwości stanąć na czele nowych sił, nie mógł skupić koło siebie nowych ludzi, z początku zaczął ich przytykować, a potem, usuwając się z goryczą w zupełne odosobnienie i samotność, zaparł się samego siebie. Mogło to być między rokiem 1863 a 1870. Okres ten mógłby trochę cofnąć o tyle, o ile zachodziła różnica między napisaniem a wydaniem pewnego utworu, a różnica ta nie była nigdy wielką jak każdy łatwo przekonać się może. W r. 1865 wyszły jego *Dziwne życie Polaków i Polek*, które wskrószyły jeszcze mają charakter polski — wspomnień o przeszłości, wolnych od domieszki politycznej. Potem nastąpiła *Bulgarya* (1872) nie mająca dla nas żadnego znaczenia, następnie *Nemolaka* (1873) i w końcu *Legendy* (1885). Na tym zakończył.

Przedewszystkiem trzeba zauważyć, że od chwili ucieczki z kraju, kiedy Czaykowskiego ominęła wielka rola, jakiej był blizki odegrania, wyrabiać się w nim po-

krytycyzm wszystkich usiłowań i dążeń, mających związek z interesami polskimi. Była to krytyka człowieka niezadowolonego i ambitnego, pozbawiona miłości, chociaż o miłości kraju ustawicznie mówił. Kochał go niezawodnie, ale w jakiś dziwny sposób — jak jeździec kocha konia, którego gotów jednak zabić, gdy go do celu nie doniesie. Brak ciepła miłości w krytyce jego a nadmiar złości, odsuwały od niego wielu, najtęczyliwiej usposobionych. Długi czas, bo lat prawie dwadzieścia za pióro nie brał, a gdy je wziął — już ono straciło wszystkie barwy dawniejsze, a gorycz tylko tryskała. Puścił tej goryczy cugle w *Dziwnych życiach* czy to mówił o jeuerale Chrzanowakim w Stambule (Pisma, t. IX, 124), czy ironicznie oceniał centralizację demokratyczną w Paryżu (ibid. 128), ale to jeszcze było niczem w porównaniu do tego cynizmu, jaki okazał w *Nemolace*. Zdaje się, że w *Dziwnych życiach* jeszcze go trzymała na wodzy Ludwika Śniadecka, gdy jej zabrakło stał już na obczyźnie zupełnie samotny i pozbawiony wiary w przyszłość. To co pisał po śmierci Śniadeckiej już miało wartość tylko ujemną, było świadectwem zupełnego upadku talentu pisarskiego i upadku ducha. Gdyby był miał odwagę zamknąć gorycz w sobie, nie pisać, nie znieważać własnego sztandaru, pod którym w czasie młodości stanął, nie pluć cynicznie w twarz narodowi, byłby niezawodnie uratował, jeżeli nie czystość przekonań politycznych, to czystość charakteru. Nie umiał się jednak powstrzymać. Zdolny pisarz, dzielny żołnierz, rwał się koniecznie na czoło politycznej akcji i zdawało mu się, że stanie na zniewadze i lekceważeniu innych. Grunt to był bardzo ruchliwy, lepszych, silniejszych od niego nie utrzymał, nie dziwnego przeto, że i jego utrzymać nie mógł. Nikt na piaskach marzeń nie buduje.

Do jakiej kategorii utworów literackich zaliczyć *Nemolacę*? Posiada on niezawodnie cechę powieściową, ale artystycznych zalet nie posiada żadnych; tu i owdzie można spotkać jakiś obrazek poetyczny, ślad dawnego talentu, całość jednakże, oprócz dawnych wad pisarskich Czaykowskiego — jak luźność akcji, epizodyczność i swawola stylowa — zawiera jeszcze podkład antinarodowy, zaprawny złością tak ślepe, że wychodzi po za ramy powieści, a staje się pamfle-

tem politycznym. Autor położył na tej powieści datę 28 lutego 1871 w Carogrodzie, która daje poniekąd klucze do zrozumienia nastroju pisarza. Była to chwila przełomowa w jego życiu. Szukał on w swoich myślach i uczuciach dawniejszych, błędów i wad, które starał się potępić w sobie i w innych. Jak dawniej widział Słowiańszczyznę i przyszłość Polski w Turcyi, tak teraz zarysowała mu się idea związku z Rosyą, stojącą na czele owej słowiańszczyzny. Wszystkie więc, co przeciwko tej idei wrogo występowało, znalazło w nim gorącego przeciwnika. Potępiając ideę, sam nie spostrzegł kiedy zeszedł z drogi narodowej. I tu wygórowana ambicja, mgła marzeń zakrywała mu oczy, a usposobienie awanturnicze wzięło przewagę nad rozsądkiem. W *Nemolace* znać to szamotanie się niespokojnego ducha, które zupełnie z czasu wysadziło go z równowagi.

Treść *Nemolaki* bardzo zagmatwana, poszarpana, niepokojna jak jego myśli, z trudnością da się wydzielić z epizodów, nie mających często nic wspólnego z powieścią, a pełnionych gorzkimi osobistymi poglądami politycznymi na rzeczy i ludzi, tak że, ściśle biorąc, składa się ona z dwóch części: powieściowej i politycznej, powieściowa — jest fabryką polityczną — krytyką. W takim też porządku zastanowi się krótko nad *Nemolaką*.

Przedewszystkiem o tytule. Nemolakami nazywają Dobrudży, gdzie większa część powieści rozgrywa się, sekularyści Rusinów, których los wyrzucił poza ramy prawidłowego życia. Takim też bezdomnym, a raczej awanturniczym w czegą był Iwan Skoropadzki, który umknąwszy z uniwersytetu, po różnych przygodach życia osiadł na Dobrudży, otwartej dla wszystkich żyjących w niezgodzie z prawem i jakkolwiek potomek hetmański, osiadł jako prosty kozak nemolaka. Miał on córkę Praksedę — cud piękności cielec, jak wszystkie kobiety Czaykowskiego, pociechę lat starca. Otóż do tej rodziny, żyjącej spokojnie, przyplątał się kozak Zwizda, ukraińiec, „kostka w kostkę, mastka w mastkę“ jak wszyscy kozacy — „gdzie nie powróć to komuś“. Nie mając pola do walki — został don-Żuanem, ale jakimż każda kobieta rozdziera przed nim serce! Padła ofiarą i matka, a matka Praksesta, najsympatyczniejsza istota z tej całej niby

wieści. Ledwie za pomocą rozmaitych westchnień i spojrzeń Zwizda i Prakseda wyjawili sobie gorącą miłość, alisci jak Deus ex machina zjawiają się Cyganie, a między nimi królowa czy królowna, bo już tego dowiedzieć się napewno nie można, Zaira, śliczna naturalnie jak marzenie. Ledwie spojrzeli na siebie, a już pokochali się. Tymczasem Prakseda rozpacza na temat: kocha czy nie kocha? Znajomi pocieszają ją jak mogą, nie domyślając się nawet, że i Zwizdzie nie najchętniej się dzieje. Cyganie powędrowali dalej, Zaira z nimi. Don-żuan kozacki zachorował, dostał jakiejś gorączki, o ile domyślać się można — z miłości. Ale wyzdrowiał szczęśliwie, gorączka minęła i zamiast Zairy — widzi znowu Praksedę. Kocha on i tę i tamtę, jaka się nawinie. Zaczyna się znowu romans z Praksedą, zapomina trochę o Zairze, w tem, paf! mowu się zjawia Zaira. Widzi, że źle, dalejże zatem straszyć biedną dziewczynę domysłami, że nie będzie ani tobie mi miennie. Wszystko to jednak takie blade, naciągane, klejone według zwykłej manieri Czaykowskiego, że nie robi żadnego dramatycznego wrażenia i ledwie z labiryntu słów można trochę treści wyluszczyć. Ostatecznie Zwizda, mając dwie kobiety, które kocha i które jego kochają, decyduje się wybrać Praksedę. Odbywają się zaręczyny jakieś dziwne, Zaira rozpacza, straszy podarowaniem sztyletu Praksedzie, a tymczasem Zwizda, a raczej autor, przygotował nowego figla. Przyposabiała się wówczas wyprawa Jeża, a Zwizda niedługo domyślając się, wyruszył z nią. Starli się z Rumunami pod Kastangalią i Zwizda został ranny w „mięso“. Było mu jak w raju, a raczej w Capui w owej Kastangali, rany goiły się, a zamiast Praksedy i Zairy miał trzy siostry Margulesco, które w nim kochały się kolejką. Ale i tutaj bez czegoś nadzwyczajnego nie obeszło się. Pewnego pięknego poranku włożono go do skrzyni, zabito gwoździami i wywieziono — Bóg wie gdzie. Zdawało mu się, że żywcem pogrzebać go chciano, rozpacza, rozmyśla, a tymczasem pokazuje się, że nie było czego, bo to Zaira kazała go tak schować, żeby przy sobie posiadać. Po co ta cała dziwaczna scenerya? Trudno zrozumieć. Mogła śmiało palcem kiwnąć na Zwizdę — i byłaby go miała. Ostatecznie Don-Żuanowi dano w taborze cygańskim „wronę“ i wyruszone w świat. Tabor posuwał się

posuwał, Zaira kochała, Zwizda harcował, łowił zające char-
tami — i dobrze im było, tak dobrze, że kędyś nad Tymo-
kiem powiedzieli sobie: „chcę być twoją, chcę być twoim“ —
i należeli do siebie. Trochę się to stało po kozacku, może
po tatarsku, dość, że im nie tyle chodziło o małżeństwo ile
o „należenie do siebie“. Tak znaleźli się w Białogrodzie —
zdaje się, że razem, bo z takimi drobiazgami autor nie liczył
się nigdy — stamtąd do Rumunii, a Zwizda hulał, ale hulał
nie po kozacku. Włosy pofarbował, wąsy także, wdział strój
europejski, lakierki — i hulał, prowadząc życie Don-Żuana.
Skąd do tej hulatyki przyszło — także niewiadomo, ale dość,
że znalazły się tu także owe trzy panny Margulesco. Nie
wiem jak długo byłoby tej hulatyki, gdyby go autor nie
kazał wsadzić do powozu i wywieźć z Rumunii do Turcji
jako groźnego pretendenta do tronu hospodarskiego. Nagle
opuściła go ochota do hulanki, opuściła Zaira, opuściły trzy
siostry Margulesco — została tylko jedna Prakseda. Choro-
wała ona ciągle, pewnie z miłości, ale gdy dowiedziała się,
że Zwizda wrócił — wyzdrowiała nagle. Pokazało się, że
Zwizda Praksedę kochał, pobrali się też nareszcie szczęśliwie.
Ale cóż? Ona była suchotnicą. Zasnęła pewnego pięknego
poranku i nie obudziła się. Stary Skoropadzki wrócił na
Ukrainę.

Trudno w jednej powieści nagromadzić więcej niepraw-
dopodobieństw i nielogiczności jak tutaj autor nagromadził.
Odbiegła go dawna świeżość, pozostała tylko maniera; zalety
młodego pióra znikły, została gorycz namiętnego i ambitnego
starca.

Poza tą treścią i jej bohaterami rozwija się epizodycz-
nie, można powiedzieć, druga powieść, w której bohaterem
jest sam Czaykowski. Pragnie on malować i maluje innych,
ale z poza nich wygląda sam, jego myśli, uczucia, plany.
Tę część poświęcił autor ostrej krytyce całego r. 1863,
a przeważnie akcyi prowadzonej na Wschodzie. Głównem
usiłowaniem autora było ośmieszyć ludzi i myśli, które niemi
kierowały w zamiarach i dążeniach, bądź całokształt interesów
polskich obejmujących, bądź też tylko akcyę na Wschodzie.
Przedstawił on ludzi działających tutaj bądź jako idiotów,
bądź jako łotrzyków, mających tylko własny interes na wzglę-

ie. Chciał to zrobić — i zrobił nie dla czego innego
lko dla tego, że ludzie ci nie liczyli się już z Czaykow-
im, jako z siłą żywotną, posiadającą wiarę w przyszłość.
ie mógł stać na czele — więc potępił wszystkich. Według
go sposobu patrzenia i oceniania byli to albo niedołądzy
blagierzy, jak emisaryusz Feniks, fagas jakiegoś margra-
ego, który skradłszy paszport i pieniądze i uciekł do
areyi. Autor ubrał go we wszystkie przymioty samochwalcy
głupca, a że charakteru tego jak i innych ujemnych, a ra-
ej niemiłych sobie nie rozwinał, dał przeto nie typy i nie
araktety lecz karykatury. Taką samą karykaturą jest dy-
pnata „Sroka czy Sroksza“, którym był jak wiadomo Orze-
owski, przybrawszy sobie nazwisko „barona Okszy“, łączą-
go w sobie „powonienie Tayleranda, smakowanie Palmer-
ona i dotykanie Meternicha“ (Pisma, t. XI, str. 43). Gdyby
pseudonimy, nadane bohaterom, nie były zbyt przeźroczy-
a niekiedy nawet prawdziwe, możnaby dyalogi i słowa
zaykowskiego brać za wytwór fantazyi, przy takiej jednak
rzeźroczystości, jaką ich odział autor, miały charakter zemsty
obistej i graniczyły bardzo blisko z potwarzą i oszczer-
wem (ibid. 103, 104, 177—184). Jenerał Żółw, baron
eksza, Jeż „brodaty“ i inni — byli to albo pijacy, albo
ści, albo marnotrawcy cudzego mienia, a nawet fałszerze
iędzy. Ażeby scharakteryzować ten rząd „Niewidomy“,
y z nim w żadne nie chciał wchodzić układy, Czaykow-
przedstawiceli jego złożył ze zwierząt różnego rodzaju.
tam tedy jenerał Żółw, komisarz dyplomatyczny Sroksza,
ownik Jeż, major Kret, major Sojka, major Indyk, kapi-
wie: Wilk, Kuna, Pliszka, Skowronek, Szczupak, Petrag,
r, Jaskółka, Sikora, Dzik: porucznikowie: Susel, Lis, Nie-
iedź, Zajac, Tchórz, Kaczka, Wąż, Geś, Kuropatwa i t. d.
by był wszakże wyliczył najdowcipniejsze rodzaje zwie-
nie stworzyłby przez to rzeczy satyrycznej i dowcipnej,
treść nie nadawała się ani do satyry ani do komedyi.

Idea ośmieszenia ruchu z r. 1863 była pierwszą próbą
wania węzłów z własnym narodem. Gdyby był się zabrał
poważnej krytyki tych wszystkich usiłowań, dróg i dążeń,
ni i kierunków, byłby zapewne znalazł niejedno do zga-
nia i nikt byłby mu tego za złe nie miał. Krytyka — to

jest punkt patrzenia i nic więcej. Ganią obywatela, śmieją się odstępcy. Już z tej powieści widać było wyraźnie, że Czaykowski stracił wszelką równowagę myśli i uczuć i zabrał się do leczenia ran w sposób konowalski: zamiast leczyć — jątrzył je tylko i wszystkich ku sobie rozdrażniał. Były to chwile walki jego ze sobą samym. Czuł się osamotnionym, oderwanym od świata polskiego, poniekąd odepchniętym na wet, a tymczasem na dnie jego duszy grały jeszcze dawne dzieciinne a raczej młodzieńcze marzenia, które go ciągnęły do kraju nieprzepartą siłą. Wyraziło się to już w *Nemolake*. Zaliczając się sam do potomków Brzechowieckiego, przeżył on uczucia swoje w potomka hetmańskiego Skoropadzkiego, który długie życie przeżywszy na tulańcu i na Dobrudży straciwszy tu wszystkie swoje nadzieje młodości i córkę najmilszą, już niczem do tego kraju przywiązanym nie był, a tęsknił do swoich dzieciinną tęsknotą samotnego serca. „Wszystkiemu musi być koniec” — mówił sam do siebie. Co miał ludziom rozdać, a ze starą żoną i trumną córki do kraju wrócić zamierzał. Na Dunaju łódź już czekała. Wsiadli do łodzi i popłynęli. Stary Skoropadzki wiózł kości swoich i swoje stare kości do kości praocjów, do mogilnika kozackiej Ukrainy (ibid. str. 274).

Były to ostatnie słowa jego bohatera. Wkrótce i on poszedł śladem starego Skoropadzkiego. „Wszystkiemu musi być koniec” — temi słowy zakończył swoje życie w Turcyi, ale przed sobą miał inne jeszcze życie, którego nie przeczuwał nawet.

Do tego przejściowego okresu zaliczyć jeszcze należy gawędę kozacko-szlachecką p. t. *Z czasów hetmana Lachy*. Jeżeli wierzyć dacie, stanowi ona ostatni etap w życiu Sadyka Paszy w Turcyi — napisana 29 września 1872 r. w Carogrodzie. W tym roku był już Czaykowski w Kijowie. Gawęda powyższa weszła do cyklu *Legend* (Pisma t. XII. Lipa 1885). Ona jedna nas interesuje z tego względu, że i ją, tak samo jak *Nemolake*, należy uważać za stopień w okresie zmieniających się poglądów politycznych i społecznych Sadyka Paszy. O innych „legendach” mówić nie będę, gdyż wszystkie je można zaliczyć do reminiscencyi młodości, a więc posiadających charakter pamiętnikowy. Są to gawędy o ...anach

kawalerji, o jeźdźcach i koniach, o trzech Janach — nie zawierające materiału ani literackiego ani biograficznego; strezczając je rozwałkowałbym niepożytecznie cały zarys biograficzny. Wolę przeto odesłać do nich bezpośrednio czytelnika miłującego konia i gawędy.

Z czasów *hetmana Lacha* należy także do cyklu wspomnień a raczej reminiscencyi z powieściowym rozwojem akcyi. Wprawdzie akcyja ta, jak prawie zawsze u Czaykowskiego, ogmatwana i przecięta epizodami, niemniej przeto ma charakter powieściowy. Do jakiego ona okresu należy — jest to tajemnica autora, to tylko pewne, że rozpoczyna się w Owrużynie, a kończy na Dobrudży. Opowiem treść krótko: zlachcie — z chodackowej ale buńdziucznej szlachty, Bech, jeden z licznych Bechów, pędził z drugim takim oczajduszą jak sam gęsi na sprzedaż, gęsi — cudze, krewnych, powinowatych, znajomych. Trochę po drodze zjadał, resztę sprzedał i uciekł na Dobrudżę. Tu żył długo — jak żył to żył, tego powiadać nie będę, dość że na starość postanowił wrócić na Ukrainę i wrócił. Daleko więcej niż przygody, interesują nas myśli i poglądy, które mu wkłada w usta sam autor, gdyż one to właśnie charakteryzują nastrój autora w ostatniej dobie pobytu jego w Carogrodzie. Dawne stanowisko tureckie, państwowe już w *Nemolace* opuściło Czaykowskiego, już był zrozumiałym dla poddanych tureckich opuszczających Turcję i dążących pod opiekę „białego Cara“. W podróż tę wyprawił Skoropadzkiego. Kiedy koszowy Hładkij z całym swoim koszem oddał się w poddaństwo białemu carowi, powiedział: „nie dziwnego i nie złego; chrześcijański to i słowiański pan, na prawdę rzekłszy, nasz prawy i jedyny monarcha. Ale on od Boga mu daną władzę sumiennie wykonywa; jest u niego w państwie ład i porządek, jest i prawo Boże i prawo carskie; on rządzi i lud u niego rządzonym Pisma, t. XII, str. 281). Tęsknił Bech, gdyż rzucił Carogród „bo tam Cara nie było i Bóg wie kiedy będzie“ (ibid. str. 280). Wybrał się tedy z Turcyi do domu nie po kozaku lecz po szlachecku: „cztery tarantasy a w każdym trójka podnomastek, rysak i dwa przystiażne w dartego orła grały, a na duhach poprzewiązywane kałakoły w takt ruchom końskim przegrywały. Były i dwa bachmaty czarnomorskie, oba

wrone jak kruki i cztery charty kudłate, dwa sokoły siew i dwa wyżły bez ogonów i bez uszów, żeby po szuwarach nie nakaleczały, zworszczyki, kozaczki, praczka, kucharka — zebrał się zwód dobry“ (ibid. str. 293). Z takim orszakiem przez stępy ruszył.

Opowieść ta podobna zupełnie do jego własnej podróży Kijów w jego młodości, w jego wyobraźni, w jego marzeniach kozackich odegrywał rolę punktu dośrodkowego. „On jest na świecie — woła ze swoim bohaterem z nizin polskich — człowiek słowiańskiego rodu, chrześcijanin czy muzułmanin, prawosławny czy katolik, poganin nawet, byle Słowianin, w którymby dusza nie zatrzepotała się jak do wylotu, oczy nie topiły się w widoku starego Kijowa, tego grodu srebrnego archanioła, wodza i opiekuna Bożego słowiańskich dusz, tej domowiny białego cara, tego namiestnika Bożego nad słowiańskimi ludźmi, nad słowiańską ziemią?“ (Pisma XII, 293).

Rozczarowanie spotkało jednak Becha, gdy zamieszkał między bracią szlachtą, gdy przysłuchiwał się do ich rozmów, poznawał ich myśli, spostrzegł przepaść między marzeniem a rzeczywistością, poznawał dwa światy: ten, który w sobie nosił i który się wyrobił w czasie jego długiej nieobecności. „Jeden mówi, że pałac ojców przerobił na cukrownię, drugi, że z matczynej oranżeryi sporządził browar; ten, że rajtazule, w której praojcowie gonili na palcaty, gdzie wydzielali dżamety i bachmaty, oczyścił i przyrządził na skład buraków; ten, że praojcowskie pałasze, miecze i dzyryty jako z dobrej stali, przerobił na szarpacze i łopaty do rąk neryi. A każdy mówi o wieku realnym, o realizmie, o specjalizmie, i o Bóg wie jakich nowych pomysłach, że trzeba się rozstać z dawnymi mrzonkami i z dawnymi pamiątkami, trzeba być technikiem żeby wiedzieć co robić. Po co gadanie o rycerstwie, o sławie, o poświęceniu się, to czece dym, a dym ulatuje i nic po sobie nie zostawia, nawet dobrego imienia, bo pocóż imię, kiedy pustki w kieszeni. Szkoda przemarnował życie, żeby się był rządził realnie, byłby miał kawałek chleba na starość...“ (ibid. str. 300). Było to najlepszym dowodem, że stary Bech i Sadyk-Pasza nie mogli już z nowym społeczeństwem porozumieć. Jednemu zdawało

że „realizm“ powinien był zabić narodowość, a drugie — że narodowość w przeszłości.

Przez własne pisma ostatniego dziesięciolecia kierował swoją do Rosyi i Kijowa, widząc w Kijowie serce Słowianoszczyzny, w Rosyi — jej głowę. I poszedł w tej nadziei, z kim pójdą inni: kozasy dobruccy zostali jednak, a z Polakami ani pogodzić się ani porozumieć się nie mógł. Do pozostałych zawołał: „pokój wam, a mnie nowe życie w starożytnym Kijowie“.

Ciężkie to było nowe życie!

Wrócił do Kijowa. Życie jego rozpołowiło się tutaj na dwie części bardzo wybitne: osobistą i publiczną. Najprzód publiczną słówko powiem. Przyjechał z wielkimi planami; zamiarami i myślami jasno sformułowanymi i, niepodtrzymany przez nikogo, musiał z placu boju ustąpić. Marzył o roli Markiza Wielopolskiego — śmielsza i dalsza, która tylko dla tej roli podstawy realnej. Słowem i pismem chciał on propagować potrzebę zgody z Rosją. „Cóż pozostanie Polakom? — pisał. — Albo być frymarką i poniewierką w interesie wiedeńskiego i Madjarów — jednym, a wszystkim przeciwnym się pod rządami niemieckimi; albo też, skoro w swoim czasie — chociaż zbieg ówczesnych stosunków politycznych — nie udało im się pójść do tego, — skoro, mówię, w swoim niegdysiejszym czasie nie umieli stanąć na czele słowiaństwa, skoro nie udało im się przemieszczenie się dziejowej misji tego słowiaństwa, przyczyniło się do własnego upadku, a przez to spowodował śmierć, nieprześlągnięty wróg i dziś grozi jej ostatnią zagładą — nie im, powtarzam — nie pozostaje jak pozostać do tego słowiaństwa, a gdy samochoć wypchnąć się z południowego, pogodzić się z północnym, połączyć i zbliżyć państwowo z bratnimi Rosyanami, uznać z dowolności władzę cesarza Rosyi, potężność słowiańskiego archy. To jest jedno jedyne zbawcze i rozumne co Polacy w długich ociągach się zrobić powinni, jeśli chcą zostać Polakami i w Słowianoszczyźnie, a nie pójść na pognój niemiecki — jak na niego przed wiekami poszło tylu już ich pobratymców. „Wylczywszy plemiona słowiańskie, które pochłonięte zostały przez falę niemiecką, wspomina o tych, których nie germanizacja już jakoby zalewa“, Szląsk górny i dolny,

Prusy zachodnie i wschodnie i ks. Poznańskie“. Was to albo już albo niezawodnie zejdzie pod pług niemieckiej kultury, jeżeli Bóg nie zlituje się nad Polakami, jeżeli zdejmie bielma z oczu żeby nareszcie przejrżeli i dostali skąd im grozi niebezpieczeństwo ostatniej zagłady, a może przyjsć jedyna pomoc i ratunek. „Ratunek i pomoc mogą przyjsć tylko ze strony Rosyi“. Trudno temu zapewnić, ważąc to niebezpieczeństwo z ogólno-słowiańskiego nowiaka. W perspektywie ukazywał on, jako cel najwyższej zemsty nad Niemcami, zapominając o tem, że zemsta może być celem pracy narodowej, ani dążeniem cywilizacji i rozwijających się społeczeństw. „Polacy z Rosyanami razem pogodzeni i pojednani — pisal w cytowanym wyżej manifestie do narodu — mogą żyć i ostać się z Polakami historycznie i politycznie, a stawszy się częścią zdrowym i organicznie z całością złączonym członkiem brzojnego ciała, które dotąd na kształt chorobliwej naczyni paraliżowali, ale sami zjednoczeniem takim potężni, mogli wziąć odwrot na tym jedynie prawdziwym i ostatecznym swym wrogu, o którym równie wiekowe przykazanie powiada, że: „jak świat światem, nie będzie Niemiec dla Polaków bratem“.

Prawie natychmiast po przybyciu do Kijowa, wywołano nieporozumienia między nim a jego interlokutorami, choć w łonie samego społeczeństwa nie brakło żywiołów chętnych do zgody i ustępstw. Czajkowski stawil kwestyę na ostrym nożu, i dlatego zamiast jednać, dzielił i drażnił ludzi, a siebie rozgoryczając bez pożytku. Tak więc zamiast pracować w kierunku zgody, drażnił i dzielił.

Przyczyniały się do tego niemało stosunki i życie w Kijowie do tego stopnia, że czuć się począł coraz bardziej samotnym, widząc nieziszczonemi nawet swoje własne marzenia i życzenia. Zamożny niegdyś szlachcic, do majątku nie był i zmuszony był żyć z pensyi jenerała tureckiego, z Konstantynopola pobierał. O tych osobistych stosunkach słówko powiedzieć należy. Po śmierci Śniadeckiej, która zmarła w r. 1866 wkrótce poznał się Sadyk-Pasza w Warszawie za pośrednictwem adjutanta swego, żyda Horensteina, z kobietą Ireną Teoscolo. Co to była za kobieta? Nie-ia

mniejszością dotychczas pokrywa jej pochodzenie, rodzinę, umiarkowanie, życie poprzednie. Wiadomo tylko, że to była osoba młoda, bardzo piękna i lubiąca towarzystwo męskie. Chciała ona opanować Sadyka-Paszę zupełnie, tak dalece, że poświęcił ten stosunek poświęcił jeszcze niejedną kartę ostatnim swoim utworze literackim (Pisma, XII t., str. 269), pisany na wyjeździe do Kijowa. Zapewne, trudno było tych kartek wydzielić prawdę od złudzeń, to tylko pewno, że o niej nie o kim innym była tam mowa, chociażby dla tego, że mówi o wyspie Tinos i o czarnych oczach Ireny. Czy inaczej, dość, że kiedy powziął zamiar powrotu do Kijowa i na Ukrainę, związek z nią był już tak ścisły, że rozstać nie mógł. Przyjechała z nim jako żona — zapisana w paszporcie.

Do r. 1877 wszystko szło dobrze o tyle, że pensja Sadyka tureckiego nie dawała odczuć ciężaru marzeń. W tym czasie jednakże, a nawet zdaje się trochę wcześniej, kiedy wybuchła wojna między Turcją a Rosją, Sadyk-Pasza, jako pułkownik, został powołany do Konstantynopola. Czaykowski odmówił powrotu. Fakt ten stał się powodem odebrania mu pensji tureckiej. Wobec tego znalazł się on bez środków na dalsze życie. Z Greczynką Ireną miał już córkę. Pragnął zapewne zabezpieczyć przyszłość tego dziecka, zgodził się na chrzest jej według obrządku greckiego wschodniego. Chrzestem chrzestnym przez zastępstwo był cesarz Aleksander II., który też przyszedł z pomocą Czaykowskiemu z kilkoma tysięcy rubli jednorazowo, a równocześnie wyznaczył mu na kształcenie córki dożywotnią pensję w kwocie 1200 rs. rocznie. Było to bardzo mało jak dla człowieka przyzwyczajonego do wystawnego i wygodnego życia, trzeba było jednak na przyszłość zastosować do tej kwoty wydatki swoje.

Czaykowski tracić począł mir coraz bardziej. Czuł się osobliwym, zubożonym, upokorzonym i w takiej zapewne sytuacji w walce wewnętrznej postanowił Kijów opuścić. Obecny przy nim nieodstępnie dawny adjutant Morozowicz radził mu powrót do Turcji — i to niejednokrotnie, Czaykowski odmówił.

Mając niewielki fundusz do dyspozycji, dar cesarza Aleksandra II, zdecydował się kupić jakąś małą posiadłość

ziemską, ażeby tam spokojnie mieszkać. Przy 1200 rubli pensyi, przy dogodnościach jakie dawać może siedziba mógł żyć względnie wygodnie. Był tylko on i żona. Na koszt rządowy umieszczono w Smolnym instytucie tatarsburgu. W prawobrzeżnej Ukrainie nie mógł tego w albowiem istniał zakaz, zabraniający Polakom kupna Majątek taki, futor, mający kilkadziesiąt desiatyn jakoteż dom mieszkalny obszerny i wygodny, znalazł w gub. Czernichowskiej, niedaleko miasteczka Kozielca to miejscowość moczarowata, nizinna, o lichej piaszczystej glebie, na uboczu leżąca od wielkiej drogi, wiodącej do Czernichowa. Już sam fakt kupna tak małej ilości, zważywszy taniść ziemi, nieprzekraczającej kilkudziesięciu rubli na desiatynę, tembardziej, że była to gleba dowodzi, że nie była zbyt wielką. Folwarczek ten kłaniał się wsi Borkach. Do niego tedy sprowadził się Sadyk z żoną i nieodstępny przyjaciel swojej starości i wiczem. Kilkoletni ich pobyt tutaj i śmierć obu jest prawie tragicznym końcem długiego życia.

Gospodarstwem żaden z nich trudnić się nie mógł wodu starości; trzeba więc było wziąć kogoś w rodzinę, któryby i robót rolnych dopilnował i ład utrzymywał. Człowiek taki znalazł się w osobie jakiegoś kowskiego. Była to osobistość bez wykształcenia, z niewielkim światem urzędniczego, ale posiadał jeden przymiot, brakło Czaykowskiemu — młodość. Wkrótce zawiązał życzliwy stosunek między nim a Ireną, na który Pasza patrzył podejrzliwie. Z tego powodu wywiązały nieporozumienia domowe bardzo częste, długie i przykłe spowodowało Sadyka-Paszę, za poradą, jak się zdaje zowicza, pozostawić Irenę własnej jej woli. W tym czasie był on w pobliżu Borków drugą posiadłość, równą co do wielkości pierwszej, o tyle wszakże gorszą, że siała domu mieszkalnego i żadnych wygod. Folwarczek nazywał się Parchimowa. Do Parchimowej tedy przenieśli obaj starcy i w prostej chłopskiej chacie zamieszkali obydwaj bez opieki, bez dozoru, bez wygod żadnych. Stara włościanka miejscowa, gotowała im jeść i niezbędną spełniała. Irena pozostała na gospodarstwie.

Ponieważ w Parchimowej literalnie nie było gdzie mieszkać, zabrali się tedy obydwaj, szczególnie Morozowicz, do budowania sobie jakiejś wygodniejszej chałupy. Sprowadzeniem drzewa i robotami zajmował się Morozowicz; Sadyk, pogrzebiony na duchu, utonął cały w przeszłości i pisał *opisniki*.

Otóż, jednej późnej jesieni, w czas śnieżny i ciężki szedł Morozowicz z lasu z furami drzewa. Czy wstrząśnienie fizyczne, czy inna jaka przyczyna, dość że Morozowicz leżąc wszedł do izby, padł na łóżko i skonał. W ten sposób pozbawił Czaykowskiego ostatniego i wiernego przyjaciela, który z nim razem odbywał pokutę do końca życia. Sadyk, żona pochował go przed oknami swojej izby. Śmierć ta dolegała go bardzo boleśnie. Przebyte walki osobiste, niepowodzenia polityczne, rozczarowania codzienne pogłębiły go i złączyły. Już od chwili przeniesienia się do Borków można to dostrzedz, gdyż znajomości z ludźmi nie szukał, o polityce i sprawach narodowych nie tylko nie mówił, ale unikał mówić, o przeszłości swojej również milczał.

Irena, dowiedziawszy się o śmierci Morozowicza, przyjechała do Parchimowej i poczęła namawiać Sadyka do powrotu do Borków. Sadyk żądał usunięcia się Jankowskiego, choć, jak się zdaje, żona zgodziła się na razie. Czaykowski wrócił do Borków, ale chwile spokoju krótko trwały. Klóskę i nieporozumienia wzmogły się, a przyczyną ich był zawsze Jankowski.

Tak trwały rzeczy do przyjazdu córki z Petersburga zimowe wakacje Bożego Narodzenia. Przyjazd jej bynajmniej nie zmienił w niczem ani wzajemnego stosunku Ireny Sadyka-Paszy ani do Jankowskiego, który znowu stał się wodzem wzajemnych nieporozumień. Zbliżał się dzień wyjazdu córki do instytutu. Irena chciała ją odwiedzić do dworca sama. Czaykowski życzył sobie, ażeby wzięła ze sobą żonę. Zdaje się, że była to zwykła scena zazdrości, wywołanej z uporem starczym. Czaykowski nastawał na tem, aby ją nie wzięła, i groził, że sobie życie odbierze, ale groźba ta przeszła bez wrażenia. Nadeszła noc. Matka z córką spały osobnym pokojem, Czaykowski w innej izbie siedział i fajkę palił. W owe czasy był to już starzec prawie niedołężny,

schorowany, ledwie ruszający nogami, do tego stopnia, przez próg przestąpić nie mógł, nie oparłszy się o kij o odrzwia. Około północy wszedł do pokoju, w którym spała Irena i począł ją budzić. „Wstań! Coś ci powiem“. Irena odpowiedziała obojętnie: „jutro powiesz“ i zasnęła znowu. Czaykowski wrócił do swego pokoju i coś pisać począł. Pół godziny mniej więcej do godziny 5-ej rano. W tym czasie wszedł znowu do pokoju Ireny, usiadł na brzegu jej łóżka, przyłożył sobie do serca pięcio-strzałowy wojskowy rewolwer — i wstrzelił. Kula nie trafiła w serce, przeszła bokiem, przeszła jamę brzuszną i nadwężyła kość pacierzową. Zraniony upadł na ziemię przy łóżku. W tym samym domu, o ścianę tyłu od mieszkania Czaykowskiego, mieszkał oficer, dowódca regimentu Archangielogrodzkiego pułku. Na odgłos wystrzału cały dobiegł stanął na nogi. Podniesiono krwią zbroczonego starca, posłano po doktora — ale przekonano się wkrótce, że ratunek już niema. Zjechała komisya dla zbadania przyczyny samobójstwa; na zapytanie jej Sadyk-Pasza znalazł tylko jedno słowo odpowiedzi: „Życie obrzydło!“ Jakkolwiek o ratunek prosił, umarł wkrótce, jak się zdaje z upływu krwi do jamy brzusznej.

Żołnierze zajęli się pogrzebem jego: na razie zrobili tylko trumnę i złożyli do niej ciało; pogrzeb wstrzymano do nadejścia pozwolenia od rządu. Zachodziło pytanie: gdzie chować i jak, gdyż był i samobójcą i Muzułmaninem. Przed śmiercią nie spowiadał się i życzenia żadnego co do pogrzebu nie objawił. Los nie tylko nie oszczędził mu tragicznego końca, ale i po śmierci piętno tragizmu na nim położył. Ciało jego przeniesiono z pokoju do szpichlerza (ambar), a gdy się chciało wchodzić w drzwiach nie mieściła, trzeba je było wyjąć, trumnę wcisnąć i ciało po raz drugi w niej złożyć. Posługi tej dokonali żołnierze. Ale tragizm jego losu bynajmniej na tym się nie zakończył. Umierając, życzył sobie, ażeby ciało jego złożono obok Morozowicza. Trzeba było zatem przewieźć go do Parchimowej. Otóż na to pozwolenie oczekiwano. Nadeszło wreszcie wraz poleceniem pochowania go według obrządku chrześcijańskiego.

Ponieważ była to zima, włożono trumnę jego na progi

nie chłopskie, grendzoły, w parę koni zaprzężone i odwieziono do Parchimowej. I tu tylko żołnierze Archangielszczycy oddawali mu posługę pośmiertną. Przed Parchimową żałobny spotkał miejscowy duchowny z chorągwiami nie na cmentarzu, lecz w ogrodzie, obok mogiły Morozowicza, pokropiwszy go święconą wodą, pogrzebał.

Życie sobie odebrał d. 4 stycznia st. st. 1886 r.

Żona po jego śmierci otrzymuje nadal pensję, wyznaczoną mu przez cesarza Aleksandra II.

Tak smutnie zakończył długie swoje i niespokojne życie Michał Czajkowski, pisarz i żołnierz. Niepohamowana ambicja, przewyższająca zdolności, jakkolwiek niepoślednie, nie pozwoliła mu pozyskać dla swoich planów dawnych i nowych, sympatii społeczeństwa polskiego. Prawda, nieraz miała i niezaprzeczoną, tkwiła na dnie tych planów, ale sam niezdolny był do ich wykonania. Człowiek, kierujący się fantazją, nie potrafił tak obmyśleć szczegółów wykonania, ażeby nie budzić mogły zaufanie i wiarę. Pomysły miewał często dobre, niekiedy zuchwałe, które mogłyby przynieść nieraz nieobliczone następstwa, ale nigdy żadnego nie wykonał w całości. W pismach i drogach swoich bezwzględny, zniechęcał i drażnił wszystkich, a pełen niespokojnej fantazyi, nie budził dla siebie zaufania. Ludzie wielcy, jak Mickiewicz, umieli pojąć jego pomysły z doby wojny wschodniej, ale praktycy politycy rzadko się z nimi pogodzić mogli. Gładkiem wychowaniem, zręcznością towarzyską, umiejętnością nawiązywania stosunków, śmiałością myśli, rzutkością umysłową, miał sobie wyrobić poważne stanowisko na Wschodzie, ale nie na tem stanowisku dla interesów kraju nie zrobił, a zepędzszy z niego dobrowolnie, życie tragicznie zakończył. Żona zgotowała mu koniec smutny.

Czajkowski posiadał w swoim charakterze jedną cechę, która jak nić czerwona przewijała się przez całe jego życie i młodości do grobu: była to awanturniczność. Jako cecha charakteru objawiała się ona nie tylko w jego działalności, ale także w zboczeniach, pełnych wybryków, jego ducha i wyobraźni. W życiu rzucała go ona różnie, od brzegu do brzegu,

od jednej ostateczności do drugiej, otaczając zarówno promieniem chwały jak i urokiem hańby, a w literaturze miał nim od wielkiego rozgłosu do smutnego zapomnienia. Był on igraszką fortuny, która go głaskała, upokarzała, męczyła, wynosiła wysoko, pokazując dalekie i rozległe horyzonty pracy, a potem spychała w tartar upokorzenia i zgryźliwości. Można śmiało powiedzieć, że szczęście jego szło równym krokiem z jego charakterem, było tak niestałe i awanturnie jak dusza tego niezwykłego człowieka. Z tą cechą awanturności wyrósł, z nią żył w hulaszczem otoczeniu szlachty, a wrażliwa jego natura nasiąkała jak gąbka powoli wszystkimi wadami i zaletami charakteru narodowego tej części szlacheckiego społeczeństwa, wśród której los żyć mu pozwolił. Dziecko rodziny, w której krew kozacka, nie „motłochu“, jak powiadał, lecz arystokracji kozackiej, pomieszana była z krwią szlachecką, przez całe swoje życie, w każdej pracy był typem tej mieszaniny. Szlacheckie zawadyactwo o miedzę graniczyło z szorstkością kozacką; dziś przy kielichu gotów był mówić, że kocha Lachów, że za króla i Rzptą głowę położy, a jutro — rozdasany i kapryśny gotów był tą samą szablą rąbać króla i Rzptą. Jedną stroną zbliżał się do ludu, kochał go szczerze, zwyczaję jego, obyczaję, pieśni znał i lubił, z drugiej — nosił butnie i wysoko szlachecką głowę. Był to demokracja szlachecka w całym tego słowa znaczeniu. Równość u niego wypływała nie z praw, lecz z łaski pańskiej; inne demokracji nie znał, nie uznawał i nienawidził. Nie zniżał się do ludu, ale lud podnosił — oto było jego godło; a ponieważ szlachectwo uważał za najwyższy klejnot na świecie drogą łaski zatem pragnął tych, kogo uzna za godnych, do wysokości tego klejnotu wynosić. W wymarzonej przez siebie Polsce wszyscy powinni być szlachcicami, a karmazynami tylko najlepsi. Ruch ukraiński w r. 1863, do którego wywołania niewątpliwie poprzednią swoją akcją przyczynił się najbardziej potępiał także dlatego, że chłopomani zniżali się do chłopów strojąc się w świtki, długie buty, czerwone mereżki i pasy. W krwi tej swojej kozacko-polskiej nosił on w sobie ten dziwny rozdźwięk: mieszaninę uległości i buntu, czołobitnej pokory przed władzą królewską i lekceważenia jej. Można w tej dwoistości natury jego, w tej mianowicie krwi trzeba szukać sympatii jego dla wschodniego świata muzułmańskiego.

re go ku sobie nęciły i pochłoneły nareszcie. W sprzeczeniu i kapryśnej duchowo jego naturze na jednym biegunie Słowiańszczyzna, na drugim Turcja. Zaczął swój zawód radecki od wykrzykniku: „Stary Dunaju! *Słowiańska rzeko!* Wiedz, czyś na twym grzbiecie zaniósł i zatopił w bezdnie czarnego morza sławę i imię plemienia słowiańskiego i dackich i rzymskich?„ (Wernyhora). A później odzywał się apostrofą, charakteryzującą sztandar, pod którym przez większą połowę żył pracował: „Stary Dunaju! *Ottomańska rzeko!* Nad brzośnią twymi błyszczą minarety meczetów, błyszczą kopuły i kopułki, w twym kowie i kowie, bratają się muzułmani z chrześcijanami, zlewają się i zlewają te narodowości w jedno wielkie otomańskie państwo i zwołują do siebie wołają: żyj nam potomku Otmana, krwi naszych cesarzy, Sultanie Abdul-Azis-Hanie, *nasz panie,* Cesarzu otomańskiego państwa“. (Wstęp do *Wernyhory*, 26 marca 1862, wyd. lipskie). Wierzył, że w ten sposób przez „wojsko otomańskie będzie rozcięta kwestya Wschodu na wieki wieków“. I temu sztandarowi sprzeniewierzył się. Robił tak, jak robili Doroszenki, Palije, Sahajdaczni, Chmielnicy, Wyhowy, którzy dziś przysięgali Tatarom i Turkom na wierność i posłuszeństwo, jutro zrywali, ażeby przysięgać Rzpiej i znowu zrywać. I tak do ostatniej chwili miotali się między przysięgą i odstępstwem, nie nie zdziaławszy dobrego dla siebie, a przez wyniosłość swoją i niepohamowaną swawolę, dla swego narodu.

Jezuitów nienawidził — dlaczego? Tak sobie, bo nienawidzili inni. Zdawało mu się, że wszystko złe na świecie od „wyzuwitów“ pochodziło. Bawił się słowami, podkładając je pod swoje myśli tak jak mu było potrzeba. Słowa Wyhowskiego: przedam Bar i Rudy, a zagram Lachom w dudy — ulubione i powtarzane przez niego aż do znudzenia — przerobił do własnego użytku: „zagram wyzuwitom w dudy“. Niepoważnie bronił, a jeszcze mniej poważnie napadał. Katolicyzm także mu ciążył, szczególnie od chwili przyjęcia muzułmanizmu. Jezuitom i katolicyzmowi przypisywał wszystkie nieszczęścia Polski. „Katolicyzm oddał królów polskich pod zwierzchnictwo cesarzów niemieckich; katolicyzm zepchnął Polskę ze zwierzchnictwa nad Słowiańszczyzną, wyznającą dogmat kościoła wschodniego; katolicyzm sprowadził Krzyżaków na klęski Litwy i Polski; katolicyzm doprowadził do

wiarołomstwa Władysława Warneńczyka; katolicyzm nie Stefanowi Batoremu zniweczył wzrastającej potęgi Moskwy; katolicyzm rozdzielił Polaków z Kozakami, spowodował klęskę i upadek obydwóch rodów jednego narodu; katolicyzm uzbroił Jana Sobieskiego na obronę największego wroga Polski, cesarza niemieckiego, przeciwko muzułmanom najlepszym sprzymierzeńcom Polski. — No, dosyć i tego, a to nie są jeszcze wszystkie winy katolicyzmu. Gdyby po tem wszystkim był jeszcze napisał, że świat cały rozsypie się na atomy, a ludzkość wymrze, skutkiem skarlłowacenia moralnego, dzięki temu że istnieje katolicyzm, — nie można byłoby się dziwić bynajmniej.

Ażebym to wszystko poprawić, potrzeba według Sadyka Paszy „ażebym katolicyzm stał się słowiańskim, nie łacińskim”, „nam potrzebny katolicyzm Bazylanów, a nie katolicyzm Jezuitów (Pisma, t. IV, Wstęp XVII). Pisał to w r. 1862 i ten fakt wytłumaczy po części ostrość i jednostronność jego sądu. Był to początek niewiadomego jeszcze końca.

Kapryśność i niestałość jego poglądów na sprawy i rzeczy narodowe, chęć wywyższenia się ponad wszystkich i utrzymanie tego dominującego stanowiska czyniła go niepopularnym wśród najbliższego otoczenia. Zjadliwy, uszczypliwy, nie oszczędzał nikogo; dzisiejszy przyjaciel jutro stawał się przedmiotem pocisków; albo łagodny i pobłażliwy, albo niewyrozumiały i szorstki. Wady te i usterki odsuwały na drugi plan niewątpliwe jego zalety: gościnność i uczynność. Zdolny do uniesień, pełen poezji, energii i życia w sobie, dawał się unosić tym przymiotom; stąd też bardziej do gustu przypadał mu świat muzułmański, kozackie życie na Dobrudży, niż salony przecywilizowanych paryskich panów i spanoszonych „episierów”. Strój turecki, formy życia, sam charakter i niewolność form religijnych podobały mu się, nęciły, bawiły go może. Kolorysta w powieściach i opowiadaniach, był także kolorystą w życiu. Temu może należy przypisać, że islam brał nie ze strony duchowej lecz formalistycznej. Bawił się nim tak samo, jak się bawił mundurem swoim generała tureckiego, jak się kochał w mundurach kozaków i dragonów wymyślając dla nich z upodobaniem nowe barwy i naszyorniki. Muzułmaninem w znaczeniu religijnem nie był nigdy, a tembardziej pod koniec życia. Jakkolwiek praktyki religijnej w

g islamu wykonywał, szczególnie w pewnym przystępie moru lub nastroju ducha z przesadnym, nawet na prawwego Turka, bigotyzmem; w chwilach zapomnienia wykiwał: Jezus! Marya! lub święty Boże! (Rumunia, Dunin, Lwów. 1887). Ludzie, którzy go znali osobiście, a z ofiarami jego stykali się, utrzymywali, że nie lubiono go w najszerszym służbowym otoczeniu z powodu intryg, które albo wokował, albo ze szkodą powszechną im ulegał (ibid. 95). Cicerowie obawiali się go do tego stopnia, że nietylko odradzano przybycie z Polski odwiedzania go, ale proszono, żeby o znajomości z nimi nie wspominał. A jednak był to człowiek uczynny, gościnny i prowadzący nad Bosforem, już w r. 1863, dom po starszłachecku. Dostatek, a nawet zbytek panowały w jego domu, służby co niemiara; do stołu krywano zawsze na dwa razy tyle osób ile było domowników lub zapowiadanych gości. Dla gości jego stoły i dom były otwarte zawsze; konie, lektyki, powozy i kaiki z flagą meralską były dla ich dyspozycji (Dunin).

Pomimo to wszystko wszakże rzadko umiał pozyskać sobie serca współrodaków z kraju, a współtowarzyszy jeszcze nadziei. Pośród nich panowała opinia, że wpływów swoich i pożytek interesów polskich nietylko nie użył nigdy, lecz przeciwnie, szkodził często. Nie było w tem niezawodnie tyle śmy ile pozorów.

Takim był człowiek.

Jako pisarza scharakteryzował go dobrze Stan. Tarłowski. „Był to talent nie z największych zapewne pisał — ale samorodny, oryginalny; wyobraźnia jednostronna, w której powtarzały się obrazy i postacie podobne jedne do drugich, ale jakaś żywa; sympatyczna, przez to że był w niej zawsze albo dzielny kozak, wierny Polsce i bijący się za nią, albo ułan. Styl manierowany, pretensjonalny często, ale często i obrazowy, czasem aż prawie poetyczny. Czasem było w nim coś dziarskiego i tęgiego, często coś tryskało tęsknego rozmarzonego, co z duszy pisarza przechodziło w jego słowa, z tych w duszę czytelnika, tak, że ten, czytając, gotów był zadumać się nie wiedzieć o czem, patrzeć nie wiedzieć o co, słuchać czy gdzie w stepie nie odbije się echem projectwo Wernyhory“. (Przeł. pol. 1886, t. IV, str. 412). Była — niego maniera, była pretensya kozacka, było w wyo-

braźni i w stylu udawanie, przebieranie się za kozaka; wszystko to czasem nużyło, czasem nudziło, czasem śmieszyło, ale było miłe i sympatyczne.

Do wielkich tematów nie porywał się, zadań społecznych i narodowych w powieściach swoich nie potrącał, i rozkochany w swojej kozaczyźnie, w dziejach narodu ją tylko jedną widział i jej wszystko przypisywał. To zamknięcie w jednym temacie, w jednej myśli, stało się u niego małym. Zaczawszy łączyć Polskę ze Słowiańszczyzną jeszcze w Kijowie, wkrótce po emigracji, skończył dopiero w Kijowie.

Pisząc w Stambule w r. 1862 *Dziwne życie Polaka i Polek*, w przedmowie do Ludwiki Śniadeckiej, powiedział że i jego życie było dziwne — i powiedział prawdę.



ŻYCIORYSY SŁAWNYCH POLAKÓW

1. Mikołaj Kopernik	przez	Henryka Merczynga
2. Adam Mickiewicz	"	Stanisł. Tarnowskiego
3. Józef Korzeniowski	"	Piotra Chmielowskiego
4. Zygmunt Kaczkowski	"	Piotra Chmielowskiego
5. Jan Zamojski	"	W. Nowodworskiego
6. Jan Sniadecki	"	Dr. L. Świeżawskiego
7. Fryderyk Chopin	"	Ferdynanda Hösicka
8. Maurycy Gosławski	"	St. Zdziarskiego
9. Klementyna Hofmanowa	"	Piotra Chmielowskiego
10. Tadeusz Czacki	"	Piotra Chmielowskiego
11. Stanisław Konarski	"	Henryka Wernica
12. Jan Kochanowski	"	W. Nehringa
13. Jędrzej Sniadecki	"	Leona wieżawskiego
14. Michał Czajkowski	"	Fr. Gawrońskiego
15. Józef Bohdan Zaleski	"	M. Mazanowskiego
16. Stanisław Moniuszko	"	B. Wilczyńskiego

W dalszym ciągu ukaza się :

Aleksander Wielopolski	przez	Władysława Spasowicza
Jan Długosz	"	St. Ptaszyckiego
Andrzej Morsztyn	"	E. Łunińskiego
Józef Kraszewski	"	St. Krzemińskiego
Lucyan Siemieński	"	A. Dobrowolskiego
Sebastyan Klonowicz	"	Henryka Wernica
Stefan Batory	"	Winc. Zakrzewskiego
Jan Matejko	"	Stanisława Tarnowskiego
T. T. Jeż	"	M. Zdziechowskiego
Jan Sobieski	"	Ernesta Łunińskiego
Józef Szujski	"	Stanisława Tarnowskiego
Adam Asnyk	"	J. Kotarbińskiego
Miecz. Romanowski	"	E. Łunińskiego
Henryk Rzewuski	"	Piotra Chmielowskiego
Karol Szajnoch	"	Aleksandra Kraushara
Zygmunt Krasiński	"	St. Tarnowskiego
Piotr Skarga	"	St. Tarnowskiego
Stanisław Staszyc	"	Tadeusza Grabowskiego

i t. d., i t. d.

Cena każdego tomiku 30 kop.

